MŁODY



NURT

ROK II

NR 13

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

ZDJĘCIE: GIMNAZJUM POLSKIE W PONIEWIEŻU

19 i 18 MARCA

Nadchodzą dwie daty, uroczyście obchodzone w Polsce od lat. Cześć oddajemy WODZOWI, który polskie wojenne sztandary wydobył z muzealnego pyłu i okrył żywą chwałą. Czcimy WODZA, który w tamtych dniach bojów przeważał zwycięstwa, a dziś stoi na czele naszych wojsk, na czele zbrojnego pogotowia narodu.

Młodzież polska weźmie udział w uroczystościach organizowanych przez wojsko i społeczeństwo. Nam, skupionym przy pracy ideowej „Młodego Nurtu", wydaje się, że te dwie daty należałoby uczcić mocniej, konkretniej.

Redakcja „Młodego Nurtu" rzuca projekt: niech młodzież wmyśli się, przepracuje i zdefiniuje rolę naczelnego wodza w Polsce. Zagadnienie to było jedną z głównych prac życia Józefa Piłsudskiego. O postawienie wodza na właściwym w Polsce miejscu — o umożliwienie mu przygotowania zwycięswa — walczył on długie lata. Zwyciężył: dziś wódz naczelny jest drugą osobą w Państwie, nie tylko z racji urzędowej hierarchii, ale i w sercach narodu. Czy tak było w historii? Jakież trudności mieli nasi wielcy wodzowie: Żółkiewski, Batory, Sobieski! Wywalczali zwycięstwa niemal wbrew woli narodu, w warunkach, które tylko dzięki ich geniuszowi nie zamieniły się w klęski.

Oto temat nad którym warto się zastanowić, wyciągnąć wnioski.

Najlepiej uczcimy pamięć WODZA, który odszedł i WODZA, który stoi na naszym czele, gdy zastanowimy się nad problemem tak pierwszorzędnego znaczenia dla Polski — w przeszłości, w czasie obecnym i w przyszłości.

W tym celu Redakcja „Młodego Nurtu" ogłasza konkurs na pracę p. t. „Wódz Naczelny w Polsce — dawniej, dziś i jutro". (Warunki konkursu na ostatniej stronie obecnego numeru).

W WYPROBOWANE RĘCE PODPUŁKOWNIKA ŚMIGŁEGO-RYDZA ODDAJĘ KOMENDĘ NAD=WAMI, WIEDZĄC, IŻ OTOCZYCIE GO TYM SAMYM ZAUFANIEM I MIŁOŚCIĄ, Z JAKĄ OD=NOSILIŚCIE SIĘ DO MNIE

ROZKAZ KOMENDANTA J. PIŁSUDSKIEGO DO LEGIONISTÓW, WYDANY W KOWLU DNIA 19. IX. 1915 r.



DNIE 19 i 18 MARCA SĄ DNIAMI SZCZEGÓLNIE UROCZYSTYMI. W DNIACH TYCH POLSKA CAŁA OBCHODZI IMIENINY NAJDOSTOJNIEJSZYCH SOLENIZANTÓW: JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO i EDWARDA ŚMIGŁEGO-RYDZA. WOKÓŁ OSÓB ZMARŁEGO MARSZAŁKA i NACZELNEGO WODZA SKUPIAJĄ SIĘ W TYCH DNIACH UCZUCIA CAŁEGO NARODU. MŁODZIEŻ POLSKA CZCI DWIE DATY MOCNYM POSTANOWIENIEM RZETELNEJ PRACY DLA POLSKI

Miłość  do Młodych

Jest rzeczą żenującą, gdy zwykły człowiek i do tego bardzo młody ma pisać o człowieku niezwykłym. Jest w tym pewna zuchwałość, która onieśmiela i krępuje bieg myśli. Chciałoby się być prostym, szczerym, bezpośrednim, ale przecież nie wiadomo, czy miara tej prostoty i szczerości godna jest wielkiej miary człowieka, o którym pragnie się mówić. Zwłaszcza, że tyle już pisano o Marszałku Piłsudskim! Stąd lęk, żeby się nie powtarzać, bo każde powtórzenie jest frazesem, a frazes (choćby najefektowniejszy) obraża wielkość, o której się pisze.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech, która może interesować w naturze Wielkiego Marszałka, jest Jego miłość do dzieci. Wiedzą o tym wszyscy i sam Marszałek nie krył tej swojej tkliwości dla młodzieży młodszej i starszej. Kochał gorąco swoje własne córki, wszystkim o tym wiadomo, ale uczuciem obejmował i wszystkie inne dzieci. Jakże lubił przebywać w rozszczebiotanym gronie dziatwy, ileż radości czerpał wśród tej dziwnej „publiczności", jak świetnie ją rozumiał! Sądzę, że wszyscy znają już np. historię pewnego doświadczenia, które Marszałek podczas swego pobytu w Rumunii na prośbę swych córeczek kazał wykonać, a wynik (wpierw sam go „za zgodność" podpisawszy) podać do wiadomości wszystkim dzieciom polskim, że niebieska wstążeczka, choć w morzu Czarnym zanurzona nie zczerniała i nadal niebieską pozostała. Przykładów podobnych można mnożyć w nieskończoność — ze wszystkich jednak wynika pytanie: co ciągnęło Marszałka do dzieci, czego szukał i co znajdował w tym obcowaniu z małymi człowieczkami, wielce w sobie zadufałymi, których otwartość i bezpośredniość w pewnych chwilach mocno musiała kolidować z etykietą, jakiej siłą rzeczy podlega obcowanie z Wielkim Człowiekiem?



Marszałek J. Piłsudski wśród kolegów gimnazjalnych (rok 1885)

Niewątpliwie pewną rolę grał tu fakt, że Marszałek, zmęczony ustawiczną pracą umysłową, znużony częstymi nań atakami, rad wśród rodziny szukał koniecznego spokoju, że się wtedy duchowo odprężał, odpoczywał, że na chwilę zdejmował z siebie ciężar postawy bojowej, w jakiej trwać musiał wobec ojczyzny i społeczeństwa, a wówczas dzieci witał, jak istoty z innej planety, beztroskie, radosne, wesołe, tak odmienne od tych „starszych". Młodzież była jedynym prawie towarzystwem, w jakim z radością przebywał Marszałek.

Przeznaczeniem, a może przekleństwem wybitnej jednostki jest samotność, jest konieczność odsuwania się od ludzi w pracy dla dobra Państwa. Wielkość jest zawsze samotna, ta bowiem samotność pozwala Wielkiemu Mężowi na pełne skupienie myśli i koncentrację woli. Gdy człowiek czuje się wewnętrznie powołany do organizowania życia zbiorowego narodu—unika wtedy ludzi. Zawiele trudu kosztuje go wewnętrzna konieczność uzgodnienia wszystkich czynników własnej duszy, aby się miał wyczerpywać w sporach i dyskusjach z innymi. Tak zapewne postępuje każdy wielki twórca, kiedy pochłonięty jest pracą. Nikt mu nie może wtedy przeszkadzać w robocie, nikt mu

nie może zakłócać spokoju, jeżeli ten stan samotnego, napiętego, burzliwego wysiłku można w ogóle nazwać spokojem. Jest w tym niewątpliwa tragedia, że w pewnych warunkach życia wielki działacz może spełniać dobro jedynie z dala od tych, dla których je przeznacza. Wygląda to jak objaw dumy, a przecież jest to ciężka ofiara.

Należy jednak przypuszczać, że Piłsudski inne jeszcze miał powody co raz to konsekwentniejszego redukowania swej bezpośredniej styczności ze społeczeństwem. Oto obcy praktykom dyktatury i jakiemukolwiek ustrojowi monopartyjnemu, nie chciał wiązać losów państwa z losami swoimi jako człowieka. Stalin w Rosji, Hitler w Niemczech, Mussolini w Italii, zagrali na swoje osobiste karty i uzależnili systemy polityczne, a więc siłę i znaczenie swych państw, od swoich indywidualnych losów. Piłsudski zdecydowanie odrzucił ideę takiej zależności. Pracował dla Polski, nie dla siebie, Polskę chciał wywyższyć, nie siebie, swe życie Polsce ofiarował, a nie Polskę sobie. To też odsuwając się od publicznych wystąpień, gdy czuł już w ciele zarodek choroby, chciał — jak pisze Wojciech Stpiczyński — przyzwyczaić Polaków do swej nieobecności, nauczyć ich sztuki rządzenia państwem, sam jeno z dala poprawiając i koordynując ich prace.

Lecz Marszałek Piłsudski za wielką był indywidualnością, by zdobyć sobie miłość wszystkich ludzi w państwie. Bezkompromisowy i „szalony" (w przeciwieństwie do człowieka „rozsądnego", opisanego przez Mickiewicza w jednym z jego artykułów politycznych), musiał narażać się tym, czy innym ugrupowaniom politycznym, bądź to przez odmienne zapatrywania na służbę państwu, bądź z powodu animozyj osobistych. Ludzie ci nie rozumieli, że przeciwstawiając się Piłsudskiemu, przeciwstawiają się samym sobie, jako narodowi, że walcząc z Nim — z samym narodem walczą, którego najistotniejsze, najbardziej twórcze cechy On właśnie reprezentował. I tu spotykamy się z dramatycznym paradoksem, że wypowiedziano Mu walkę w imię haseł, które On właśnie w życie wcielał i pustą na łamach dzienników frazelogię zamieniał w tętniącą życiem treść. Ale cóż! Walka (o ile wolno to walką nazwać) ciągle trwała i ustawicznie zatruwała organizm tego człowieka brakiem zrozumienia Jego roli. Marszałek uświadamiał sobie, że negatywny stosunek pewnych grup wynika albo z pospolitej złośliwości, albo jest głębokim nieporozumieniem i szedł dalej swoją drogą, drogą organizowania wielkości narodowej. Powracał zato co raz częściej do dziatwy. Ci, co Go znali, musieli Dziadka kochać, czuło się w Nim bowiem szczerego przyjaciela młodzieży. Ten wielki wychowawca miał dar wczuwania się w dusze, a chcąc znać przyszłość Polski, poznawał to, co tę przyszłość będzie tworzyć — myśli i zamiary młodzieży. Czuły był na objawy humoru zapewne w przekonaniu, że Jego pokolenie dość się już wycierpiało, iżby nowe pokolenie miało przystępować do pracy nad odbudową Polski z ponurą powagą i cierpiętnictwem, a nie z radością i weselem.



„Witaliśmy Polskę odrodzoną nie dźwięcznym śmiechem odrodzenia, lecz jakimś kwasem śledzienników i jakąś zgryźliwością ludzi o chorych żołądkach. Więc... błagam: matki i ojcowie, gdy sami śmiać się nie możecie, w kąt rzućcie instrumenty pedagogiczne, gdy wesoły srebrny dzwonek śmiechu roześmianych buziaków dziecinnych w waszych domach się rozlega. Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia, gdy wy tego nie umiecie!"

Czy nie należałoby w dzień Imienin Wielkiego Marszałka uczynić zadość temu życzeniu i święcić tę datę radością i weselem?

Ryszard Pomirowski
lic. humn. gimn. Batorego (Warszawa)

ABY POLSKĘ PODCIĄGNĄĆ WYŻEJ!...

(Urywki z przemówienia Gen. Rydza Śmigłego, wygłoszonego w dn. 24 maja 1936 r. w Warszawie na Zjeździe Delegatów Zw. Legionistów Polskich).

Koledzy! Wierzę głęboko w wasz instynkt żołnierski, który nas tylekroć prowadził do zwycięstwa w bardzo ciężkich warunkach i dlatego zwracam się do was: spójrzcie na naszą wschodnią granicę i przeprowadźcie sobie krótkie porównanie między tym, co jest u nas, a tym, co za zachodnią i wschodnią granicą... Chcę tylko na jeden moment zwrócić uwagę, na drogę, na której napewno możemy dorównać naszym sąsiadom. Jest to sprawa zorganizowania kierowanej woli ludzkiej. Porównajmy, jak ta sprawa u nas wygląda i jak wygląda u naszych sąsiadów.

Koledzy! Porównanie to nie dobrze nam smakuje. Ono ma bolesną gorycz! Czy porównanie to nigdy wam nie spędzało z powiek snu nawet po dniu najtwardziej przepracowanym? Jak można organizować państwo, jak można myśleć o uzdrowieniu czegokolwiek w państwie wtedy, kiedy się nie ma tej zorganizowanej jednolicie kierowanej woli...

Uważam, że jedynym naszym hasłem, które może być tym pionem naszym moralnym, jest hasło obrony Polski. Hasło to nie należy pojmować w sposób jednostronny i zwężony... Nie chodzi tu o finanse tylko, chodzi o ujęcie tego programu szerzej. Jestem głęboko przekonany, że w tym programie wszystko się znajdzie, że się znajdzie droga wyjścia z naszych stosunków gospodarczych, że znajdzie się droga, która nas doprowadzi do wyzwolenia sił moralnych i twórczych w narodzie, do skupienia ich, do wytworzenia nowych wartości, których nam jest bardzo potrzeba. Mam wrażenie, że to hasło obrony Polski jest jak gdyby potężnym łańcuchem, który jest jednym końcem przytwierdzony do Polski. Chodzi o to, ażeby jak najwięcej dłoni chwyciło za ten łańcuch, trzeba go sobie przerzucić przez ramię i ciągnąć, ciągnąć, chociażby w krzyżach trzeszczało! Aby Polskę podciągnąć wyżej! Nie na podstawie statutu, nie na podstawie zachcianek, kaprysów, ale na podstawie głęboko przemyślanej żołnierskiej i twardej woli...



Nie ma wyboru, trzeba sobie powiedzieć: musisz stanąć tu w szeregu obok nas, jak brat, albo nie jesteś bratem.

Nie ma miłego przeżywania lub dożywania, nie ma możności wybierania sobie co wygodniejsze i przyjemniejsze, jest ciężki okres i on nakłada ciężkie zadania...

Koledzy! Trzeba umieć patrzeć prawdzie w oczy. Gdybyśmy uważali, że Polska może liczyć tylko na nas, mając trzydzieści kilka milionów obywateli, to świadczyłoby to tragicznie o Polsce. Wy, mając twarde, wyrobione dłonie, jesteście do tego przygotowani, aby pierwsi chwycić za ten łańcuch, ale obok was muszą stanąć inni i wy musicie starać się o to, aby obok was stanęli wszyscy ci, którzy mają poczucie siły i chcą tę siłę oddać w rzetelną służbę Polsce, Ojczyźnie, czy Państwu, jak kto woli. A wy musicie znaleść dla nich, zależnie od sytuacji, przyjacielskie słowo, albo twardy rozkaz, nie znający żadnych względów ni pardonów.

PRACA TWÓRCZA
miarą wartości człowieka



Żyjemy w czasach, w których istotną legitymacją człowieka w życiu, wiernym miernikiem jego prawdziwej wartości w społeczeństwie jest jego praca.

Minął bezpowrotnie czas, gdy praca była w pogardzie, a o pozycji człowieka w zbiorowości decydowało pochodzenie lub majątek.

Choć zawsze praca była podstawą bytu i rozwoju narodu, to jednak wiemy dobrze, jak długi czas przed nami trwał taki stan rzeczy, wiemy, że ci, którzy ją spełniali, na których barki była ona rozłożona całym swoim ciężarem i którzy stanowili ogromną większość — zaliczani byli do gorszego, podlejszego gatunku ludzi. Nie mieli jakiejkolwiek możności wpływania, ani współdziałania w kierowaniu i decydowaniu o swoim losie, jak i o losie całego narodu, którego stanowili istotny rdzeń i nieprzemijające, bezcenne bogactwo.

Przywilej kierowania i rządzenia skupiali w rękach swoich ci nieliczni, którzy nie mieli do tego absolutnie żadnego uzasadnionego prawa, bo nie mnożyli dóbr własną pracą, lecz żyli w nieróbstwie, spożywając owoce pracy innych. Taki układ rzeczy, oparty na niesłusznej i niesprawiedliwej zasadzie nierównomiernego rozdziału przywilejów w stosunku do osobistego wkładu wysiłków ludzkich nie mógł długo trwać. Runął.

Na jego gruzach wyrósł i krzepnie nowy ustrój stosunków ludzkich, w których praca wysunięta jest na miejsce honorowe w zespole czynników kształtujących życie, kształtujących teraźniejszość i historię.

Trud i wysiłek skierowane ku osiągnięciu określonych celów — co składa się na najogólniej pojętą istotę pracy — stanowią najtrwalsze podstawy istnienia silnych jednostek i zwartych zbiorowisk. Ta prawda ma szczególnie ważkie znaczenie w naszej polskiej wspólnocie narodowej, dlatego podniesiona została do rangi podstawowej zasady ustrojowej, wyrażonej w generalnym wytycznym ustroju Polski, jakim są artykuły dekalogu konstytucji kwietniowej.

Pełne głębokiego sensu słowa artykułu 8 stanowią najwyższe bodaj stadium w procesie przewartościowania pojęć o podstawach i rozwoju bytu zbiorowego.

Słowa te brzmią:

„Praca jest podstawą rozwoju i potęgi Rzeczypospolitej. Państwo roztacza opiekę nad pracą i sprawuje nadzór nad jej warunkami."

U nas w Polsce, zniszczonej pożogą wielkiej wojny, w Polsce ciągle jeszcze cofniętej w rozwoju dziejowym zaprzepaszczenia własnych form państwowych narodowego bytu — praca każdego człowieka, gdziekolwiek i na jakim szczeblu jest spełniana, ma znaczenie ogólnonarodowe.

Każda bowiem dziedzina życia w Polsce wymaga niezwykle wielkich nakładów trudu dla dźwignięcia jej do poziomu, na jakim jest postawiona gdzie indziej, u innych szczęśliwszych narodów, — nie zatrzymanych w biegu swej historii, tak jak my.

Dlatego dziś przyszłość Polski spoczywa w rękach tych, którzy codziennym wysiłkiem swych mięśni i mózgów przysparzają Polsce nowe dobra, nowe pożytki, nowe wartości, a zatem spoczywa w rękach ludzi pracy.

Ludzie pracy stanowią prawdziwą, bo w ogniu walki codziennego życia wyhartowaną — elitę narodu.

Nie trzeba się łudzić, że ustawienie pracy na odpowiednim poziomie w dziedzinie pojęć, a więc w dziedzinie teoretycznej, jak też powszechne przekonanie o pierwszorzędnej roli ludzi pracy w Polsce, znajduje całkowicie wierne odbicie w życiu, w rzeczywistości. Jest wiele braków, wiele luzów, które trzeba jeszcze wypełnić lub zacieśnić. Szwankuje jeszcze psychiczne nastawienie ludzi pracy do swego warsztatu. Jakże często jest ono niewłaściwe, niesłuszne i wręcz szkodliwe dla rezultatów, jakie praca ta ma osiągnąć.

Panuje fałszywe nastawienie, że sama praca, pojęta jako suma trudu i wysiłków skierowanych do osiągnięcia określonego celu wyznacza człowiekowi właściwe miejsce.

Nieprawda!

Ilość wysiłków, choćby największa, nie określa jeszcze wartości człowieka, który się jej podjął. Jeśli wysiłkom tym towarzyszy świadomość użyteczności spełnionego zadania, myśl wyobrażająca całość tworzywa i wola przelania w wykonywane dzieło wszystkich swoich możliwości, — wówczas praca taka jest doskonałym owocem trudu ludzkiego i może stanowić miernik wartości człowieka.

Praca twórcza legitymująca się widocznymi dokonaniami może służyć jako miara wartości.

W Polsce mamy tyle do zrobienia, że nie stać nas poprostu na inną pracę jak tylko twórczą.

Pełną gwarancją tej twórczej postawy będzie właściwy i odpowiadający wewnętrznemu powołaniu człowieka — rodzaj pracy, jaką podejmuje się pełnić w życiu.

A ileż to ludzi w Polsce pełni swą pracę bez powołania, nieraz wbrew niemu, goniąc za złudą łatwiejszych i szybszych korzyści.

Właściwy wybór zawodu jest zagadnieniem niezwykłej wagi, nie tylko z punktu widzenia osobistych interesów jednostki, lecz również ze względu na dobro powszechne.

Raz obrany odcinek roboty winien się stać terenem jak najpełniejszego wyżywania się twórczego człowieka.

Adam Skwarczyński żądał kiedyś od nas młodych, abyśmy zaszczepiali w siebie i w innych tę wolę oddania się pracy „bez reszty", poświęcenia jej wszystkich swoich sił, aby rezultaty jej były jak najlepsze i jak największe.

Musi w Polsce wyrosnąć pokolenie, które potrafi zdobyć się na zajęcie twórczej postawy wobec własnego warsztatu bez względu na to, czy będzie to warsztat krawca, czy biurko urzędnika.

Świadomość, że tylko praca twórcza jest miarą wartości, winna zrodzić się jak najwcześniej i towarzyszyć nam przez życie.

Leśniak Władysław
(Warszawa)



WSPÓŁDZIAŁANIE BRONI W WALCE

Na łamach „Młodego Nurtu" zostały już omówione, w grubszych zarysach, zasady organizacji poszczególnych rodzajów wojska, czyli inaczej mówiąc broni i służby. Ci więc spośród naszych młodych, a przyjaźnie do wojska nastawionych czytelników, którzy się zagłębiali w lekturę artykułów o treści wojskowej, wiedzą co to jest piechota, kawaleria, artyleria, lotnictwo, bronie pancerne itd. oraz jaka im przypada rola w nowoczesnym polu walki.

Wyrażając to językiem wojskowym (przyda się to tegorocznym abiturientom liceów), poznali ogólne zasady taktycznego użycia i działania tych broni. Dlatego też, tak przynajmniej sądzę, nadszedł czas, by zaznajomić zainteresowanych czytelników z najogólniejszymi **zasadami współdziałania poszczególnych broni w walce,** tj. omówić tę pracę, jaką wykonują poszczególne bronie i służby w ramach całości prowadzonego boju, aby przez wzajemnie sobie wyświadczoną pomoc osiągnąć główny cel każdego zmagania wojennego, tj. **zwycięstwo.**

Jak to powszechnie wiadomo, dawno już minęły te czasy, kiedy to rycerz ścierał się piersią w pierś ze swoim przeciwnikiem, starając się go powalić ciosami swego topora, kłóciem swej dzidy lub cięciem swej dobrze wyostrzonej szabli.

Pojedynki rycerzy, z których składało się żmudne wywalczanie zwycięstwa, minęły bezpowrotnie. Ich miejsce zajęła walka zespołowa, prowadzona przez masy wojowników przy użyciu najbardziej nowoczesnych środków walki. Dziś stan jest taki, że żadna poważna bitwa nie może być rozegrana wyłącznie tylko przez jedną broń. Nawet piechota, która ma w swym składzie organizacyjnym wszystkie potrzebne środki walki, może samodzielnie prowadzić tylko walkę. Bitwy nie rozegra, bo brak jej do tego pomocy innych broni. Nawet w prowadzeniu walki ma pewne trudności.

By piechocie i kawalerii, które z natury swego przeznaczenia ponoszą główny ciężar walki lub bitwy, ułatwić osiągnięcie zwycięstwa, dodaje się im do pomocy oddziały takich broni, jak lotnictwo, bronie pancerne, saperzy, łączność oraz organa służb, które je zaopatrują we wszystkie potrzebne środki walki, czyli **„żywią"** bitwę. Na korzyść oddziałów piechoty i kawalerii pracują więc takie służby, jak intendentury (zaopatruje w żywność, umundurowanie, sprzęt kwaterunkowy, pieniądze), uzbrojenia (dostarcza materiały uzbrojenia i amunicję do nich), zdrowia (daje materiał sanitarny i leki, oraz ewakuuje z pola walki rannych i leczy ich), taborowa i samochodowa (dowozi wszystko to, co jest potrzebne do prowadzenia bitwy), saperska (dostarcza narzędzia i materiały do budowy lub naprawy dróg i mostów) i inne, drobniejsze. Działanie broni pomocniczych (artyleria, lotnictwo, bronie pancerne i inne) oraz organów służb na rzecz broni głównych (piechoty i kawalerii) musi być dobrze zgrane w czasie i przestrzeni, bo inaczej wysiłki każdej z tej czynników szłyby rozbieżnie, lub nie przejawiałyby się w żądanym czasie i w potrzebnym miejscu. I właśnie to zgranie wszystkich wysiłków, w celu osiągnięcia wspólnego celu — zwycięstwa, stanowi istotę współdziałania poszczególnych broni i służb na dzisiejszym polu walki. Na nic się bowiem nie zdadzą szalone i krwawe szturmy piechoty, jeżeli nie będą przedtem przygotowane ogniem artylerii, który „przygniecie" nieprzyjaciela do ziemi, obezwładni go i zdemoralizuje, odbierając mu jego pewność i możność posługiwania się śmiercionośnym sprzętem ogniowym. Nie wiele korzyści przyniosą loty odważnych pilotów, rzucających się jak orły na kolumny wroga, jeżeli jednocześnie nie będzie prowadzone działanie na ziemi, mające na celu ostateczne zdezorganizowanie i dobicie wroga. Dlatego też praca poszczególnych broni musi być uzgodniona i musi być cząstką ogólnego wysiłku wszystkich. Tylko wtedy może być mowa o akcji planowej, kierowanej, zdążającej z konsekwentnym uporem do wywalczenia zwycięstwa.

Tak więc lotnictwo i oddziały kawalerii rozpoznają wroga. Odszukują go na drogach, w lasach, miejscowościach. Lotnik wynajduje przeciwnika już zdala. Melduje o tym dowódcy i wysuniętej naprzód kawalerii, która stara się rozpoznać go dokładniej i określić jego wartość i liczebność. Obie te bronie ubezpieczają jednocześnie mniej od siebie ruchliwą piechotę, dając jej na czas znać o zbliżaniu się przeciwnika. Utrzymują też łączność między poszczególnymi walczącymi zgrupowaniami.

Artyleria kroczy tuż za piechotą, gotowa każdej chwili potężną mową swych dział wesprzeć jej działanie. Szybko zajmuje stanowiska ogniowe i żelazem swych pocisków ułatwia piechocie ruch naprzód lub hamuje rozpęd wroga, kładąc ogień przede wszystkim tam, gdzie nie wystarczają własne środki piechoty. Piechur i artylerzysta to rodzeni bracia. W walce stoją tuż obok siebie. Dlatego też muszą dobrze znać swe wzajemne potrzeby i możliwości.

Bronie pancerne (czołgi, samochody i pociągi pancerne), jakkolwiek mogą działać samodzielnie, są zdolne wybitnie

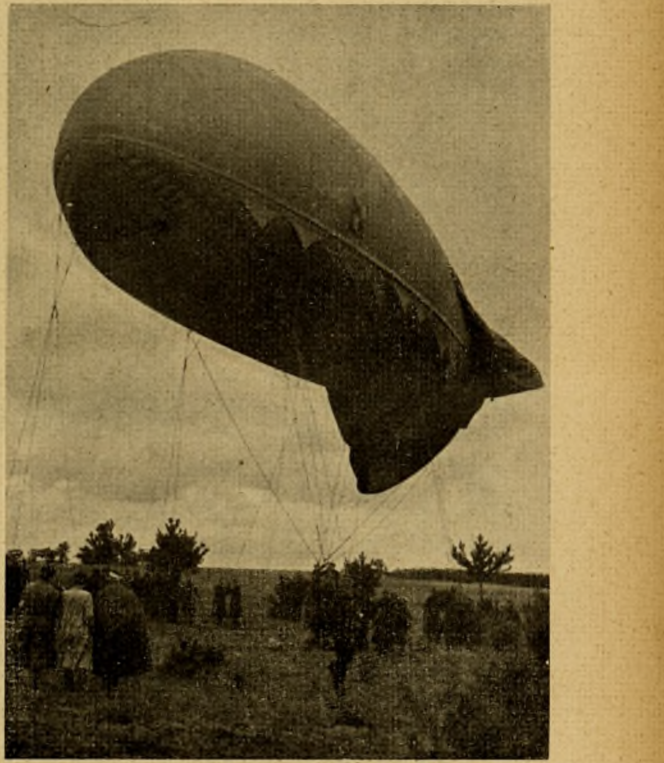
przyśpieszyć przebieg działania bojowego, rzucając na szalę walki nie tylko pociski swego sprzętu ogniowego, ale i potężne, opancerzone cielska, zdolne do miażdżenia wszystkiego, co im staje na drodze ruchu.

Odwdzięcza się im za to piechota pilnie je strzegąc i osłaniając w ich pracy bojowej, bowiem pancerne wozy bojowe są prawie ślepe i nie widzą, zwłaszcza z boku nastawionych armatek przeciwpancernych nieprzyjaciela, które czyhają zaczajone i dobrze ukryte, by móc swym szybkim a celnym ogniem zniszczyć nacierające czołgi lub samochody pancerne.



Saperzy i pionierzy są nieodłącznymi towarzyszami piechurów i kawalerzystów. Zbrojni w swe narzędzia i materiały techniczne, posuwają się często w pierwszej linii, gotowi do natychmiastowej pomocy (budowa przejść przez przeszkody, naprawa lub budowa mostów, niszczenie zapór minowych, naprawa dróg itp.).

Oddziały łączności są „nerwami" każdego działania bojowego. Budowane przez nie połączenia telefoniczne oraz sieć bezdrutowa (radio) pozwalają na wzajemne szybkie porozumiewanie się i przekazywanie rozkazów oraz wiadomości. Ich praca jest bardzo ciężka. Żołnierze oddziałów łączności zawsze są zajęci. Mają dużo roboty przed, w czasie i po walce. Bez nich dzisiejszej walki nie można by było prowadzić.



Choć na ogół żołnierz umie czasem pogłodować, to jednak musi on mieć zapewnioną dostawę żywności, musi być odziany oraz musi otrzymać swoje pobory. Stara się o to intendentura. Bez oddziałów służby intendentury żołnierze przymieraliby głodem lub musieliby się żywić „we własnym zakresie", tj. rekwirować żywność nie zawsze zasobnej ludności cywilnej.

Moloch nowoczesnej wojny pożera setki tysięcy pocisków i tysiące sztuk najrozmaitszego rodzaju broni. Wystrzelaną amunicję trzeba natychmiast uzupełnić, zniszczoną broń szybko naprawić, zbędny materiał (łuski amunicyjne i zdobyty na wrogu sprzęt uzbrojenia) odesłać w tył, by nie zawadzał. Służą do tego oddziały służby uzbrojenia, które dbają o dostarczanie oddziałom walczącym tych wszystkich środków, którymi się prowadzi nowoczesną walkę.

Organem, który współpracuje z tymi dwoma służbami, jest służba taborowa i samochodowa. Jej kolumny samochodowe lub konne dowożą na front żywność i amunicję oraz różne inne potrzebne materiały i środki, zabierając stamtąd i odwożąc do tyłu to wszystko, co chwilowo nie jest tam już potrzebne.

Oddziały sanitarne organizują pomoc i opiekę lekarską dla chorych, rannych i zagazowanych. Dzięki nim wielu żołnierzy, niezdolnych chwilowo do walki, szybko wraca do zdrowia i do szeregów walczących.



Z tego ogólnikowego zarysu widzą czytelnicy, że nowoczesne pole walki wymaga zaangażowania całego szeregu czynników i środków i dokładnego ich zgrania. Jak widzieliśmy jedni współpracują z drugimi, dając w sumie to, co po wojskowemu zwie się **współdziałaniem.**

Bez harmonijnego współdziałania na polu walki wszystkich środków i sił nie może dziś być mowy o możliwości uzyskania powodzenia. Wysiłki jednych muszą się zgodnie łączyć z pracą drugich. Bo tylko na zasadach wzajemnego współdziałania zorganizowana praca bojowa prowadzi do zwycięstwa, będącego podstawowym celem każdego działania wojennego.

Wude.

NOWY PAPIEŻ PIUS XII

W dniu 2 marca br. Kolegium Kardynalskie dokonało wyboru nowego Papieża. Wybór padł na dotychczasowego sekretarza stanu i kamerlinga kardynała Eugeniusza Pacelliego, najbliższego współpracownika zmarłego Papieża Piusa XI. Nowy Papież przybrał imię Piusa XII.



Wybór kardynała Eugeniusza Pecelliego na Papieża spotkał się we wszystkich niemal państwach z największą życzliwością i uznaniem. Kardynał Pacelli bowiem, — który za poprzedniego pontyfikatu przyczynił się bardzo wydatnie do odrodzenia kościoła i ścisłej współpracy z wielu państwami, — daje gwarancję, że wielkie dzieło Piusa XI znajdzie w w nim najgodniejszego reprezentanta i że polityka kościoła pójdzie właściwymi torami. Nieugięty bojownik o wiarę w dobrze pojętym duchu Chrystusa, połączył niespotykaną wprost pracowitość i rozległość wiedzy z prawdziwą prostotą ducha, która najbiedniejszym w kościele katolickim pozwala w nim skupić swe nadzieje Bezkompromisowy w walce o dobro Kościoła i szczęście narodów niewątpliwie dopełni wielkiego dzieła swego poprzednika.

Papież Pius XII, urodził się w Rzymie w dn. 2 marca 1876 r. Pochodzi z rodziny mieszczańskiej.

Święcenia kapłańskie przyjął w roku 1899; już jako kapłan skierował się na drogę dyplomatyczno - kościelną. Ze stanowiska profesora prawa kanonicznego przeszedł do Kongregacji, gdzie ściśle współpracował przy kodyfikacji prawa kanonicznego z kardynałem Gasparrim. W roku 1917 otrzymał sakrę biskupią z rąk ówczesnego papieża Benedykta XV. — W r. 1920 kard. Pacelii mianowany był nuncjuszem papieskim w Niemczech, gdzie przezwyciężywszy wiele trudności, przeprowadził podpisanie konkordatu 25 czerwca 1925 roku.

7 lutego 1930 Pius XI powołał go do św. kolegium kardynalskiego oraz mianował go sekretarzem stanu na miejsce kardynała Gasparri. Za czasów urzędowania kardynała Pacelliego, jako sekretarza stanu, nastąpiło zawarcie konkordatu z Rumunią, Badenią, Austrią i Jugosławią. Sekretarz stanu Pacelli, udawał się dwukrotnie do Ameryki: na Kongres Eucharystyczny do Buenos Aires w 1934 r. jako legat papieski i do Stanów Zjednoczonych w 1936 r. Obie te podróże przyczyniły się świetnie do wzmocnienia pozycji Kościoła na nowym kontynencie.

W r. 1937 kardynał Paceli udał się z misją oficjalną do Francji, a w r. 1938 reprezentował Papieża na kongresie eucharystycznym w Budapeszcie.

Po śmierci Papieża Piusa XI kard. Pacelli spełniał obowiązek kamerlinga.

W. B.

OFICERSKA SŁUŻBA SPOŁECZNA AKADEMIKÓW

Na terenie akademickim powołano do życia nową organizację o charakterze społecznym. W dniu 26 lutego br. obok Legii Akademickiej, władze wojskowe zorganizowały Oficerską Służbę Społeczną Akademików, której zadanie streszcza się w pracy realizacyjnej ideowo - wychowawczej we wszystkich organizacjach w ścisłym kontakcie z wojskiem — dalej w podjęciu prac uświadamiających, oświatowych, wojskowo - społecznych wśród społeczeństwa na terenie całego państwa, głównie jednak na wschodnich, częściowo i zachodnich rubieżach Polski.

W czasach kiedy rzuciliśmy hasło: każdy obywatel żołnierzem i każdy żołnierz obywatelem, powołanie do życia O. S. S. A. jest jednym z zasadniczych momentów pracy realizacyjnej wychowania narodu w duchu obywatelskim i wojskowym. Prócz tego O. S. S. A. jest jednym z bardzo zasadniczych etapów współpracy młodzieży akademickiej z armią.

Założenia ideowe O. S. S. A. znalazły swój pełny wyraz w rezolucji, uchwalonej przez zebranie ogólnoakademickie:

1) „Sytuacja międzynarodowa zmusza cały naród do zbrojnego pogotowia i nieustającej pracy w budowie wielkiej Polski jako potężnego mocarstwa chrześcijańskiego. W pracy tej polska młodzież akademicka przodować musi społeczeństwu ofiarnością i wytrwałością.

2) Rok temu powołana przez P. M. A. Legia Akademicka wykazała prężność młodego pokolenia i nierozerwalną więź pomiędzy armią i młodzieżą.

3) Następnym etapem prac jest stworzenie nowoczesnego typu inteligencji, pełnego świadomości swej odpowiedzialnej roli, typu oficera służby społecznej. Wyszkolenie w tej służbie młodzież powinna przejść przede wszystkim w czasie służby w legiach akademickich."

Łab.

DZIAŁ literacki

UWAGI NA MARGINESIE WSPÓŁCZESNEGO REWIZJONIZMU LITERACKIEGO I HISTORYCZNEGO

Od czasu do czasu przebiega przez literaturę nowy, ożywczy prąd, naukowo zwany rewizjonizmem — a przez ludzi szarych i przeciętnych — odbrązowaniem świętości. Prąd w zasadzie słuszny; jego zwolennik pokazuje nam **zwykle zamknięte okna** i mówi, że trzeba tu pokój przewietrzyć. Gorzej jest, jeśli mogą takiemu panu wskazać otwarte drzwi, mówiąc, że powietrze jest czyste — a on bez potrzeby mąci im upragniony spokój. Tak się rzecz miała na przykład ze studium p. Jana Nepomucena Millera pt. „Zaraza w Grenadzie". Autora rażą „tanie rymy, gadulstwo Wojskiego, szablonowość Telimeny", zaściankowość, fikcyjność rozwiązania, razi go wreszcie to, że „Pan Tadeusz" jest uznany za epopeję narodową. Bo nie zdaje sobie p. Miller sprawy z tego, że „Pan Tadeusz" nie jest apoteozą szlachty, lecz **fotografią** życia. Mickiewicz nie mógł więc przedstawić samych dodatnich typów — jak tego chce Miller — lecz pokazał nam ludzi takich, jakimi w rzeczywistości byli: Polaków z krwi i kości.

Zresztą takie naciąganie rzeczywistości sprzeciwiałoby się prawdzie historycznej, której pan Miller jest takim żarliwym obrońcą. Kolidowałoby także z mądrością Mickiewicza, który znając doskonale ludzi przedstawia ich łącznie z wadami i zaletami — a nie jednostronnie. Miller występuje przeciw szlachetczyźnie w „Panu Tadeuszu". Jest ona główną przyczyną ataków na ideologię dzieła. Czyż w imię tej szlachetczyzny głosi się uwolnienie chłopa od pańszczyzny? Czyż w imię tej szlachetczyzny krytykuje się i ośmiesza pieniactwo i warcholstwo szlachty?

Kto zna chłopa i wieś — widzi w „Panu Tadeuszu" kanon naszego narodowego charakteru wraz z jego zaletami i wadami". (Rostworowski).

Dlatego p. Miller szczególnie podkreśla sybarytyzm bytowania, wskazuje, iż cnoty Jacka Soplicy są tylko pokutą za zbrodnię, a tendencyjnie przemilcza dodatnie cechy bohaterów i artyzm „Pana Tadeusza", mówiąc tylko, że „rozszerza on zakres materiału artystycznego".

Z tego względu nie można zgodzić się z p. Millerem, ale należy mu obiektywnie przyznać, że chciał odświeżyć nieco utarte od lat pojęcia o „Panu Tadeuszu".

Większą słuszność można by przypisać rewizjonistycznym zabiegom profesora Konopczyńskiego około osoby Bony i Barbary Radziwiłłówny. Znany historyk przedstawia Barbarę Radziwiłłównę w zdecydowanie ujemnym świetle, wysuwając niezbite dowody, że była ona **ladacznicą**, której imponowała korona królewska. Bona — według profesora Konopczyńskiego — miała na celu wyłącznie dobro Polski, a lokowanie kapitałów za granicą tłumaczy autor „Historii Polski" chęcią uchronienia ich, bo w Polsce nie były bezpieczne. Jak więc widzimy — pojęcia odnośnie tych dwóch postaci uległy w ciągu ostatnich lat gwałtownym przeobrażeniom, co jest niewątpliwie zasługą rewizjonizmu w dziedzinie historii.

Rewizjonizm historyczno - literacki reprezentuje docent dr Olgierd Górka, zajmujący się głównie tłem historycznym „Trylogii" Sienkiewicza. Zarzuca autorowi „Ogniem i mieczem", że niektóre postacie, czy to rycerzy czy kobiet są zbyt wyidealizowane. Nie widzi p. Olgierd Górka, lub nie chce widzieć, że Sienkiewicz nie zamykał oczu na wady niektórych Polaków, przedstawiając takich zdrajców ojczyzny jak: Krzeczowski, Radziejowski, Radziwiłł.

Zarzuca także „Trylogii" p. docent O. Górka, że postać księcia Jeremiego Wiśniowieckiego jest zbyt wyidealizowana przez Sienkiewicza. Zarzut ten w istocie ma dużo słuszności i jako taki wnosi już pozytywne wartości do rewizjonizmu polskiego, którego właściwym twórcą jest Tadeusz Boy - Żeliński.

Autor „Bronzowników" pisze wręcz w swej najnowszej pracy „Marysieńka Sobieska", że król Jan III był bohaterem z przypadku, a wszystko, co robił, czynił po to, żeby przypodobać się Marysieńce.

Uwydatniona jest tu znakomicie rola żony wielkiego monarchy, któremu Żeleński nie odmawia wielkich zwycięstw — ale wynajduje właściwe ich przyczyny i pobudki. Tego rodzaju rewizjonizm, choć obala w naszej jaźni zbudowaną baśń o nieprzeciętności króla — zbliża jednak Sobieskiego do nas, bo przedstawia go jako człowieka wraz z jego wadami i zaletami. I w tym właśnie leżeć powinno zadanie „brązowników": wydobyć z literatury—czy historii postacie **nieosiągalne**, przedstawić je tak, jakimi były w rzeczywistości — bez dodatkowego upiększenia ornamentem frazesu — czy dekoracyjnym motywem fantastycznych czynów.

Nie wolno jednak celowo obniżać wartości niecodziennych utworów, nie wolno ludzi wielkich obrzucać błotem, — bo jak mówił Wyspiański:

„...świętości nie szargać,
bo trza, żeby święte były.
To boli!..."

Jerzy Krzeczowski.
lic. humn. Kielce

FRANEK

(Nowela nagrodzona na Wielkim Konkursie Wakacyjnym)

Włóczę się w targowy dzień po szczerbatym rynku Jędrzejowca.

Zdysharmonizowane głosy taką czynią wrzawę, że aż bębenki w uszach bolą.

— Ha - ll - o - o!!!

— para, nie para!

— lewa wygrywa!

— cukierki miętowe!

— do mnie gosposiu!

Ludzie pędzą na złamanie karku od Żyda do Żyda. Obserwuję tłum. Szukam kogoś ze znajomych. W międzyczasie zauważyłem jak jakiś młody człowiek o podejrzanych ruchach uwija się wśród niewiedzących co z sobą robić ludzi. Żółta, wyschła twarz, na której kiełkujący zarost rozsiadł się szarymi plamami, przykuła całą moją uwagę. Człowiek ten wciskał się tam, gdzie ludzie tworzyli najbardziej zbitą gromadę, ginął, to znowu wydostawał się nazewnątrz. Czarne latające oczy ślizgały się po co raz to innych obiektach. Zdawało się, że wszystko widzą, że potrafią nawet ubranie prześwidrować. W pewnej chwili obdartus wykonał znaczący ruch i włożył rękę do kieszeni marynarki ubranego z pańska jegomościa. Zdrętwiałem. Serce zaczęło silnie uderzać. Zdawało mi się, że ktoś mnie chwyta za rękę i w tej chwili krzyknie na policję. Odetknąłem, gdy obdartus nieprzyłapany na gorącym uczynku wyjął próżną dłoń z kieszeni. Szedł w moim kierunku.

Wydało mi się, że kiedyś spotkałem się z tym człowiekiem — że już raz widziałem tę twarz. Ale gdzie?... Mózg silnie pracował. — Nie miałem już teraz najmniejszej wątpliwości. To był on, Franek. Franek, Franek, mój kolega, — krzyczało serce... Widocznie i on mnie poznał, bo na wychudłą twarz wypłynął koloru cegły chorobliwy rumieniec. Zawahał się ale podszedł ku mnie i uśmiechając się dziwnie rzekł: — Dzień dobry! — Dzień dobry — odpowiedziałem i postąpiłem naprzód, by mu podać rękę. Ścisnął ją kurczowo tak jak zapewne zwykł ściskać każdą cudzą rzecz.

— Jak się masz — rzuciłem. Nie widzieliśmy się tak dawno. — A tak... diable życie, psiakrew! Sadził najróżnorodniejszymi przekleństwami. Widziałem teraz jego przedwcześnie pomarszczoną twarz, podsiniałe oczy i spieczone zaciśnięte kurczowo usta, które przy wymuszonym uśmiechu nerwowo drgały ukazując żółte spróchniałe zęby. Zapytałem go o dom, matkę...

— Nie byłem już dawno w domu — pokłóciłem się. Teraz jestem w terminie. Zarabiam trochę. Ciężko... nie wszyscy mają szczęście jak ty. Ja muszę robić... Znów posypała się na bruk seria nowych przekleństw. Chciałem coś powiedzieć, ale w tym samym czasie otwarły się jego usta. Zaczekałem.

Pożycz mi 2 złote — rzekł szybko i utkwił we mnie wzrok jakby chciał się przekonać, czy przyznam się i pożyczę, czy też powiem, że nie mam. Widząc, że nie daję odpowiedzi, rzekł :

— Nie bój się, oddam ci przez kogoś znajomego... że jestem tak ubrany — to nic. Przecież zarabiam...

Widziałem jak zarabia. Chciałem mu powiedzieć, co widziałem przed chwilą ale bałem się go rozgniewać i pozwoliłem mu dalej kłamać.

— Mam ubranie, buty, a w tym chodzę tylko, by tamtego nie zniszczyć... Zwyczajnie — robota...

Byłem przekonany, że nie ma nic, nawet innej koszuli prócz brudnego łachmana zawieszonego na wychudłym ciele, ale odpowiedziałem.

— Dwóch złotych ci nie pożyczę, bo mi są strasznie potrzebne, ale jednym mogę ci służyć. Oddasz mi, gdy będziesz miał. Nie masz się czego śpieszyć. Podałem mu monetę wiedząc, że pożyczam na wieczny dług. Schwycił ją kurczowo jakby się bał, bym się nie rozmyślił i wsunął prędko w kieszeń podartej, cuchnącej marynarki. Zaczął rozglądać się wokoło. Widocznie chciał się uwolnić od mojego towarzystwa, bo rzekł:

— Muszę już iść. Czeka mnie jeszcze praca, a majster, psiakrew, będzie robił grande.

Podałem mu dłoń na pożegnanie. Uścisnął ją w ten sam sposób i oddalił się. Patrzyłem za nim. Obejrzał się po kilku krokach, a potem przygarbił się jeszcze mocniej, jakby dźwigał na plecach olbrzymi ciężar i zaczął gwizdać przez wypróchniałe zęby jakąś fałszywą melodię. Odprowadziłem go wzrokiem aż zniknął na zakręcie ulicy. Nie ruszałem się jeszcze z miejsca. Widziałem ciągle zgarbionego, z głową w ramionach Franka. W uszach miałem zgrzyt fałszywej melodii, nieznanej jak jego dusza...

Wieczorem wracałem do domu.

Wzdłuż szosy pełzał szary wąż kurzu i wił się wśród trajkoczących wozów. To chłopi wracali z jarmarku. Słychać było wesołe rozmowy, śmiechy, a nawet piosenki o dość podejrzanym charakterze. Ludzie zapomnieli o troskach.

Wetknąłem głowę we wsparte na kolanach dłonie i odgrodziłem się od świata. Snuły się po głowie różne myśli, myśli, których wypowiedzieć nie można, które się rodzą jak jakieś potężne wstrząsy i giną natychmiast wśród ciszy jak ledwie dosłyszalne westchnienie. Mijaliśmy las. Nad ginącym w dali horyzontem unosiło się krwawe słońce i słało na dobranoc swe ostatnie pocałunki układającym się do snu polom. Czerwona tarcza dotknęła ustami krwawymi ziemi i zaczęła się chować, aż wreszcie znikła zupełnie.

W cudnej grze świateł zwyciężył fiolet i roztoczył wszechwładne panowanie mroku. Z dala, wolno jak siewca, szła nad polami srebrna mgła i brała w swe posiadanie

wszystko, co spotkała na drodze. Dokoła unosił się lekki powiew, czy szum jakiś. Zdawało mi się, że słyszę czyjąś modlitwę szeptaną starczymi ustami.

Może matka Franka modliła się o dobrą dla niego drogę. Czy też Franek usłyszy głos oddanego mu serca. Może teraz, gdzieś pod osłoną mroku węszy nową zdobycz?

Na niebie ukazały się gwiazdy. Szukam swojej. Świeci wśród częstych mrugań. Ciekawym, czy Franek też ma teraz swoją gwiazdę. Kiedyś miał. Może już się wypaliła i nie świeci?

*

W dwa tygodnie potem mówił ktoś, że Franka przyłapali, gdy plondrował w kieszeni jakiegoś pana podczas walnego powiatowego zjazdu. Podobno bardzo go bili w komisariacie, a później odesłali do Kielc. Wzywali matkę i siostrę. Staruszka zemdlała.

— Śmiali się we wsi, że złodziej...

*

Dziś jest wieczór zupełnie podobny do tamtego...

Jestem sam. W głąb czterech ścian spływa przez okno noc, otula mnie swym czarnym płaszczem i gniecie ciężarem. Patrzę na niebo. Jest granatowe, prawie czarne, usiane gwiazdami. Moja gwiazda świeci równo jak dawniej.

— Matka Franka umarła przed kilku dniami...

...Myślę, że czasem ludzie są podli i lubią rozdrapywać rany i... że śmiech zabić może.

I nagle zaczynam rozumieć ten szum, który płynie dołem jak wieczna modlitwa idąca poza granicę zasięgu ludzkiego wzroku, tam, gdzie chyba tylko nicość drwi z bezsensu słów pojawiających się na ustach.

A potem już wiem, że z wnęk ciemnych wyjdzie życie i pod osłoną nocy zacznie znaczyć swe ślady jak mowę zawiłych znaków.

Zdaje mi się, że na pustej ulicy widzę wyłaniającego się z mrocznej bramy zgarbionego Franka. Dzwoni mi w uszach ton zgrzytliwej sfałszowanej melodii, gwizdanej przez wyszczerbione zęby.

W tej chwili oderwał się kawałek gwiazdy, zawirował w przestrzeni i zniknął.

— Myślę, że człowiek pojawia się na ziemi jak błysk światła i może się stoczyć w przepaść...

...że mrok wieczny odbiera sens życia.

Marian Przeździk
(Kielce).
Lic. im. Żeromskiego

J. ŚNIECIŃSKI
Lic. hum. Brześć n/Bugiem

Duch Belwederu

Usnąłem żołnierza snem pod ciemnym liściem wawrzynu,
Wokoło blaskiem świec jarzą się białe ołtarze,
Zaklęty w kryształową legendę Wielkiego Czynu.
Marzę.
Czytam złote litery sławy, w dziejów księdze:
Kraków, Kielce, Łowczówek, Konary, Rokitna,
Warszawa — biały Belweder ciszą usłany błękitną —
Stamtąd — nocą bezsenną marząc o potędze
Patrzyłem oknem w parku rozszumiane dale,
Na szybach grały cienie i szły korowodem
Jak duchy tych, co legli ku ojczyzny chwale...
Szły przede mną milczącym, bez końca pochodem,
Wspomnień defiladą...

— — — — — — — — — — — —

Jesienny liść z szelestem spada...
Sny napływają rozwiewną gromadą,
Ciszy bezmiernej już nic nie przerywa,
Odszedłem —
Przeszłość śpi cicho, pod białą kolumnadą,
Listopadowe liście ścielą się z szelestem...
Jestem!
Z wami po wszystkie dni wielkości — choć odszedłem
Jestem!

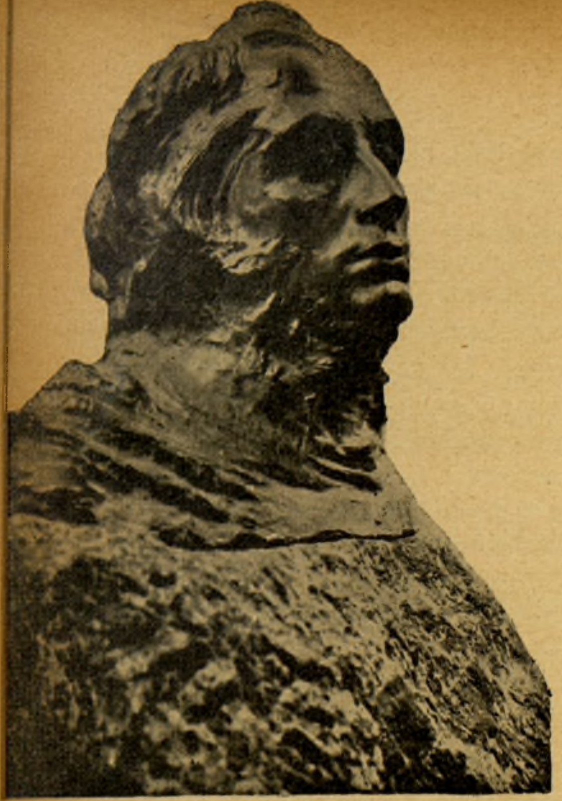
Żałobne werble głuchym warczały łoskotem,
Roztrzepotały się krepą owite chorągwie na wietrze,
Słońce sypało wokoło tam złotem,
Jęk dzwonów wypełniał powietrze...
Mówiliście: „Odszedł od nas tą ciężką godziną,
Serce Jego, co wiele kochało — nie bije!..."
Mówiliście — „umarł Wódz!" Nie wiecie:
Jam nie umarł — Żyję!

— — — — — — — — — — — — — — —

Głucha zaległa belwederskie ściany cisza,
Echo zawisło w sieciach rozwitych pająka,
Nikt nocną godziną dźwięku mych kroków nie słyszy,
Nikt nie wie, że tak jak dawniej samotny w komnatach się [błąkam.
Jak dawniej — gdym was dźwigał na Potęgi szczyty
A wyście mi kamienie rzucali pod nogi,
Jak dawniej, gdym was szlakiem wiódł jasnym w błękity
A wyście barykady stawiali wszerz drogi!
Jak dawniej — wciąż w dal patrzę i widzę dzień co wstanie.
Jak przyszłośc wam Chwały głoski w pomniku wieków wy- [kuwa —
Jestem — przez noce ciemne, przez zórz płomiennych świ- [tanie
Z wami po wszystkie dni wielkości jestem
I czuwam!



SZTUKA w życiu człowieka



Rzeźba Ostrowskiego: Adam Mickiewicz

Już od niepamiętnych czasów człowiek, jako twór doskonalszy od otaczającego go świata, twór obdarzony duszą i rozumem, nie zadawalał się płaskością i przyziemnością życia. Siłą rzeczy musiał wyjść ze swojej zwierzęcości i przejść w wyższe formy bytowania, w których by znalazł nie tylko zaspokojenie swych instynktów, przejawiających się w walce z naturą, ale też i zaspokojenie swoich potrzeb duchowych. Nie od razu do tego doszedł. Ponieważ jedynie absorbującą walką z wrogą przyrodą była trudna, przeto musiał pomyśleć o ułatwieniu sobie tej walki i wreszcie o zwycięstwie. Sporządził sobie dzidę, młot, łuk itd. To dało mu przewagę nad światem zwierzęcym wobec którego stał się agresywny. Myśl o podporządkowaniu i wyzyskaniu otoczenia dla swoich celów materialnych coraz częściej pojawiać się zaczęła w umyśle ludzkim. Strona tzw. materialna życia była przynajmniej chwilowo zaspokojona. Pozostawała jednak druga: strona duchowa. Tutaj już poszło łatwiej. Walka o byt ułatwiła rozwój umysłowy człowieka, a ponieważ zjawiska przyrody utożsamiał z jakimiś dobrymi, lub złymi bóstwami, zapragnął je sobie przedstawić zmysłowo, tzn. w formie materialnej. Fantazja i wyobraźnia doradziły mu, jaki kształt nadać kawałkowi drzewa lub kamienia, by otrzymany produkt był zgodny z jego wierzeniami.

To było, moim zdaniem, pierwszym zaczątkiem czegoś, co po tysiącleciach nazwane zostało sztuką! Wprawdzie mógłby ktoś nazwać już samo wytworzenie jakiegoś narzędzia sztuką; jestem jednak przeciwny temu, stojąc na stanowisku, że sztuka, to umiejętność wytworzenia dzieł nie w celach materialnych i nie dla samej użyteczności, ale dla zaspokojenia ludzkiego dążenia do rozwinięcia i ucieleśnienia duchowych przeżyć i **zmieniającego** się ciągle poczucia estetycznego. Gdyby bowiem człowiekiem kierowały wyłącznie pierwsze czynniki, nie mielibyśmy sztuk pięknych, bo dla naszego życia materialnego nie są one potrzebne.

Sztuka stosowana jest tylko zewnętrznym upiększeniem artystycznym, bez głębokiej treści.

Tymczasem weźmy jakieś arcydzieło poezji, muzyki, malarstwa, lub rzeźby. Sprawia ono wrażenie, działa na nas nie swą szatą zewnętrzną, lecz treścią.

Odgadujemy myśli i intencje autora, wiemy, jakie uczucia w nim nurtowały. Jeżeli był wesoły uzewnętrznił to w wierszu lub w piosence, więc i my się uśmiechamy, a jeżeli rozpaczał z powodu nieszczęścia osobistego, czy narodowego, **to i z naszych twarzy znika uśmiech.**

Dzieła Grottgera, przedstawiające fragmenty z powstania styczniowego, uderzają nas boleścią i smutkiem; opisy bitew w trylogii Sienkiewicza porywają swą wyrazistością i zdaje się nam, że pędzimy wraz ze skrzydlatymi husarzami do ataku, płomień zapału wybucha w naszym sercu i gotowi jesteśmy na wszystko; w „Odzie do młodości" i my wołamy „Naprzód młodzi przyjaciele" i nasze piersi rozsadza jakaś mocarna siła, potężny ogień młodości i burza buntujących się uczuć; „Pan Tadeusz" koi nas swą serdecznością i słonecznością, wlewa w nasze dusze miłość nie ku potężnym gigantom, ale miłość sielsko - anielskiego życia wiejskiego, miłość lasów, pól, dworków i nieba ojczystego; a gdy zabrzmią poważne akordy poloneza Chopina, ulatujemy duchem do czasów Polskich mocarstwowej, sięgającej od morza do morza i z uśmiechem żalu za minioną przeszłością szepczemy: tak to **drzewiej** bywało!

Spróbuję teraz zdefiniować pojęcie sztuki, aczkolwiek jest to rzecz trudna, zbyt rozległa, by dała się ująć w karby reguł. Prawdziwą sztuką nazwiemy umiejętność wytwarzania dzieł wysokiej wartości estetycznej, działających na uczucia i wyobraźnię widza, czy słuchacza, wywołujących **w nim** podniosłe wrażenia. Sztuką jest nie tylko samo wytworzenie, ale przede wszystkim zdolność wywołania podobnego nastroju, uczucia u drugich!

Z tego to względu sztuka ma bardzo wielkie znaczenie w życiu człowieka.



Kościół Bernardynów w Poznaniu

Daje mu wytchnienie po ciężkiej pracy, o przede wszystkim zachęca go do niej.

Może dziwnym by się wydawało, że sztuka zachęca do pracy, ale tak rzeczywiście jest. Człowiek, który ciężko pracuje i mimo tej pracy nie jest należycie oceniany i wynagradzany, zniechęca się do życia, nie znajduje celu w życiu, świata wydaje się mu duszącą zmorą, widzi bowiem wszystko w czarnych barwach. Gdy jednak w wolnej chwili znajdzie się w teatrze, w operze, przeczyta jakąś pożyteczną książkę, zmienia się, zapomina o tym co było i buduje swoje nadzieje na nowych podstawach. Czuje w sobie nowe siły i gotów jest w dalszym ciągu brać się z życiem za bary, znalazł bowiem odżywki dla swych sił duchowych i moralnych, znalazł wreszcie cel.

Ogarnąwszy okiem wszystkie wieki widzimy, że człowiek szukał w sztuce tego, czego nie znalazł w życiu.

Świątynie romańskie już u progu zwalały człowieka na kolana, przytłaczały swą ponurą ciężkością i tajemniczością, a z ich zaciemnionych sklepień zda się wychodził huczący głos: „prochem jesteś człowiecze, więc na kolana śmiertelniku i kajaj się przed Panem!"

Kościół gotycki wznosił człowieka do Boga; ostrołuki zamglone dymami kadzideł zdawały się być niebem, do którego płynęło rozanielona dusza, przepełniona słodkimi słowami, pokój przynoszącymi: „Treuga Dei".

Świątynia renesansowa przypominała, że Bóg jest wielki, ale przy tym jest dobrotliwy i za to Go kochać należy, a życie ziemskie nie potrzebuje być udręką i karą, ale może stać się radością, bo świat jest piękny, więc i życie powinno być piękne.

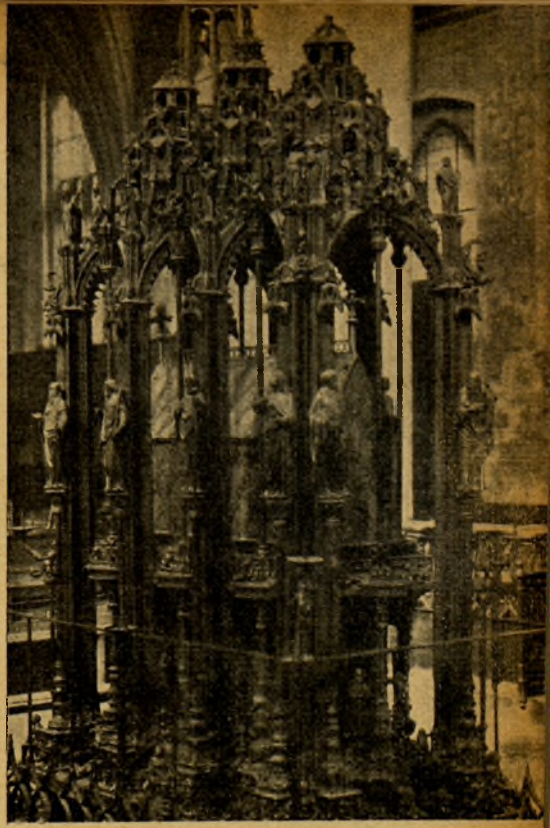
Stwierdziwszy już dodatni wpływ sztuki na człowieka, zajmiemy się teraz stosunkiem sztuki do narodu i państwa. Jaki jest ten stosunek, to my, Polacy, powinniśmy najlepiej wiedzieć, mając przykłady tego w naszej historii.

I bez ryzyka można powiedzieć, że sztuka polska była dźwignią narodu w chwilach krytycznych. W ciemnym okresie czasów niewoli naród polski miał trzy jasne punkty: pierwszy to — powstania, pełne heroizmu i poświęcenia, drugi to — przetrwanie wśród nieustającego nacisku, a trzeci, to właśnie rozkwit sztuk pięknych i to wtedy, gdy tego zachodziła potrzeba, gdy zdawało się, że pogrążeni w apatii Polacy zgodzą się ze stanem rzeczy. „Oda do miłości" była pobudką powstania listopadowego. „Pan Tadeusz" osładzał życie emigrantom na obczyźnie, przypominając im ukochane strony ojczyste i godził ich we wspólnych zamiarach powrotu do Ojczyzny. W kraju rozchodziły się pieśni wieszczów podnosiły ducha akordy Chopina, opery Moniuszki i przygotowywały do nowego powstania. Po jego upadku, obok artystów, przedstawiających martyrologię powstania, pojawiają się inni: Sienkiewicz, Matejko Wyspiański. Zwalczają oni myśl o pogodzeniu się z zamiarami zaborców, wzbudzeniem pięknej przeszłości, podnoszą ducha i tym przygotowują... czyn Piłsudskiego. Szarych legionistów porywa ten sam zapał, z którym do boju szli skrzydlaci husarze. Po tym przychodzi zwycięstwo 20 roku, tzw. „Cud nad Wisłą" — i on był dziełem Sienkiewicza, Matejki, Wyspiańskiego.

Ci młodzi chłopcy, broczący krwią pod Warszawą, wychowani byli na dziełach tychże autorów i na nich wyrośli.

Sztuka jest więc żywą rzeczą i stopniem jej żywości mierzy się postęp, ducha, żywotność; prężność narodu. Nie ma zdarzenia historycznego, którego by sztuka nie rozsławiła, nie ma zrywu narodu, bez przygotowania duchowego. W sztuce odbijają się dążenia, nadzieje i osiągnięcia narodowe, umacnia ona obywateli we wierze w posłannictwo dziejowe, a hasła tego posłannictwa tworzy sama, rozgłasza i wpaja już dziecku, gdy tylko ono **rozumować** poczyna. Dlatego sztuka musi być narodową, by mogła spełniać swe zaszczytne zadanie — utrzymywania ducha narodowego.

Lic. Hum., Wolsztyn **Jan K. Lipiński**



Wit Stwosz: Mauzoleum św. Sebalda w Norymber

Ludzie PIĘKNI duchem



SZ. KONARSKI

(W 100-ą ROCZNICĘ STRACENIA)

Kiedy mroki niewoli pokryły ziemię polską, mnożyły się szeregi cichych, wytrwałych bojowników o wolność. Do rzędu najpiękniejszych postaci pierwszej połowy XIX wieku należy Szymon Konarski, męczennik za sprawę polską, stracony w Wilnie w dniu 27 lutego 1839 roku. Martyrologia Polski porozbiorowej postać Konarskiego wpisała na swoje karty tymi zgłoskami, jakimi wcześniej wpisany został Walerian Łukasiński.

Krótkie życie Konarskiego, (stracony w 31 roku życia) było pełne najpiękniejszych czynów. Czynem i czułym sercem patrioty i demokraty, wołającego o wolność Polski, — a nie rozległą wiedzą i uczonością, rzeczami nabytymi, wkradł się Konarski głęboko w uczucia swojego narodu. Czyn, chęć bezpośredniego działania, czułe na wołanie umęczonej Polski serce zastąpiły rutynę. Historia krótkiego, a jakże pełnego treści życia, jest zwierciadłem wielkiej duszy Polaka.

Na służbę Polski oddała go ziemia Augustowska. Młodociany Konarski, po ukończeniu szkoły, wstępuje w szeregi Wojska Polskiego, do pierwszego pułku strzelców. Udział w powstaniu listopadowym, z którego szeregów wychodzi kapitanem, hartuje duszę, zmusza do głęboko potem zakorzenionej nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie. Po upadku powstania widzimy go na emigracji we Francji jako nieubłaganego zwolennika czynu zbrojnego, który w wyjściu Zaliwskiego do kraju widzi jeden z zasadniczych etapów realizowania hasła niepodległości. Czyn tkwił u źródeł tęsknoty walki o nową rzeczywistość Polski. Głęboko patriotyczny rewolucjonista walczył na emigracji o zasady demokratyczne, bo wierzył niezłomną wiarą człowieka, że czynem całego narodu dokonać można wyswobodzenia Polski. Chciał ścisłego związania ludu polskiego ze sprawą walki o niepodległość, chciał ideę wyswobodzenia uczynić powszechną. Wierzył dalej, że wyswobodzenie ludu, podniesienie wśród niego oświaty i kultury, poprawa bytu — nastąpić mogą na ziemiach Polski, jak na Północy i Wschodzie wówczas tylko, kiedy powstanie wolna, niepodległa Polska, kiedy psychika przeciętnego człowieka przełamie się i nagnie do pełnienia ofiarnych zadań.

Ta niesłabnąca nigdy chęć realizowania haseł czynem zmusza go do opuszczenia Paryża. Konarski w roli emisariusza Stowarzyszenia Ludu Polskiego udaje się na wschodnie ziemie Polski, by tam, w okolicach Lwowa, Łucka i Tarnopola, potem i na Litwie podejmować próbę działania, uświadomienia, przekonywania. W ciężkich warunkach zakłada Związek Narodowy, który dzięki niesłychanemu urokowi osobistemu, nadzwyczajnemu wprost entuzjazmowi, umiejętności podbijania dusz ludzkich, wzrastał w siłę z każdym miesiącem i rokiem. Tajny Związek, którego prezesem wybrano Konarskiego, potężniał i rósł, przygotowywał lud do walki z zaborcą. Niezmordowany, ciągle czynny twórca Związku szedł do ludu z sercem i słowem prostym, jak myśli ludu wieśniaczego.

W niezmordowanej pracy świeciła jasna gwiazda, cel, droższy ponad własne życia i cierpienia. Cel bowiem i dążność do niego, połączone z sumienną pracą, nawet z ludzi złych robią dobrych i pożytecznych.

Prostym i zrozumiałym był cel Konarskiego, który ukazywał go ludowi.

Harmonijna linia życia, połączona z cierpieniem, prowadziła go tam, gdzie wzywał obowiązek serca, obowiązek wobec idei wyzwolenia Polski i ludu.

Wilno, gdzie przybył w roku 1838 dla nawiązania kontaktów z ruchliwą i czynną młodzieżą, miało stać się grobem Konarskiego. Dla nas, dziś patrzących na jego postać, Konarski jest potwierdzeniem znamion hartu i woli człowieka, który w strasznych katorgach więziennych nie ugiął się pod bestialską dłonią carską, który nie zaparł się swych snów o wolności, który wytrwał. Schwytany przez sługi cara wytrwał w strasznym więzieniu, nie zdradził sprawy, bo nie chciał, by kończyła się z jego śmiercią. Śmierć jednego człowieka wobec idei wyzwolenia milionów była nieważną, nie ważyła na szali. W to wierzył do końca, bo nie wiedział może, że z jego śmiercią upadnie dzieło, któremu życie oddał; mimo wszystko wierzył w ludzi.

A tymczasem wola jednego człowieka, który jest silny w trwaniu wśród najgorszych przeciwności, który w pracy i w micie celu widzi realizację, rzeczywistość lepszą i jaśniejszą — jest wię-

cej warta od słabości, połączonej z brakiem wiary w siebie i cel, z brakiem oddania się rzetelnej pracy — tysięcy i milionów jednostek.

Śledztwa i sądy wykryły spisek. Konarskiego skazano na rozstrzelanie. Prowadzony na miejsce stracenia w dniu 27 lutego 1839 r., do płaczących nad nim Polaków skierował Konarski następujące słowa: „Nie nade mną płaczcie, bo ja za chwilę wolnym będę, ale nad sobą, których niewolnikami zostawiam".

Jak, on kończył walkę, wierzył natomiast, że żadna żywa dusza polska trwać nie może w bierności, że Polacy podejmą dalszą walkę, że nie ustaną w drodze do wolności. Męczennik za sprawę wielką wierzył, że życie każdego zaciąga w dług powinności, że życie bez walki, zmagań i trosk czyni z człowieka i Polaka karła i jedną z figur marionetkowych, którymi inni jeno bawić się mogą.

W cichym człowieku czynu naród wyczuł swą wielkość. Oto już w dniu stracenia rozdzierano jego szaty, dzielono się wszystkim, co z nim było związane, z ust do ust z pietyzmem podawano imię, którego wielkość do dziś tkwi nie w rozgłosie, a w cichej, heroicznej ofierze za ideę powszechną i wielką.

Komentarz do życia i czynów człowieka, jakim był Szymon Konarski, zamiera w słowach, a rodzić się musi w sercach naszych.

ŁASZEWSKI BOLESŁAW

ZDZISŁAW PORĘBSKI

GDAŃSKIE ZAJŚCIA

Z końcem stycznia i na początku lutego b. r. Gdańsk był widownią nowych zajść antypolskich. Fakty zachodzące na terenie Wolnego Miasta poruszyły całą polską opinię publiczną, dlatego nie sposób pominąć je i u nas, którzy śledzimy wszystko, co bezpośrednio dotyczy całego narodu. Przejdźmy więc pokrótce bieg wypadków i spróbujmy je ocenić:

W dniu 29 stycznia br. studenci polscy usłyszeli w w kawiarni „Cafe Langfuhr" jeden z częstych okrzyków niemieckich: „Hier wird nicht polnisch gesprochen!" Małoznaczne i niegłośne rękoczyny powodują następstwa. Oto 12 lutego polska młodzież akademicka zastaje na drzwiach kawiarni obelżywy napis: „Hunden und Polen der Zutritt verboten" (Psom i Polakom wstęp wzroniony). Obraza najżywszych uczuć patriotycznych nie pozwala Polakom na przemilczenie incydentu. Ogólnoakademicki wiec studentów Polaków uchwalił rezolucję, w której odwołując się do uczuć całego narodu polskiego, żąda przez interwencję Władz polskich, satysfakcji, unormowania warunków studiującej w Gdańsku młodzieży i zapobieżenia na przyszłość podobnym zajściom. „Obrażeni" w swej dumie narodowej studenci niemieccy na uchwałę wiecu odpowiedzieli czynnym wystąpieniem na Politechnice. W mundurach partyjnych, (aby byli nietykalni, bo za czynne znieważenie w mundurze grozi wysoka kara), przyszli z żądaniem usunięcia Polaków z sal wykładowych. Bójkę „wygrali", bo władze politechniki nie chciały interweniować.

Wobec takiego stanu rzeczy, Rząd polski interweniował przez swego komisarza generalnego R. P. w Senacie Wolnego Miasta, „domagając się przedsięwzięcia kroków, które zapewniłyby studentom Polakom bezpieczeństwo osobiste i możność swobodnego odbywania studiów". Ta pierwsza jednak interwencja nie odniosła należnego skutku, następnego bowiem dnia bojówka niemiecka napadła na polski Dom Akademicki we Wrzeszczu. Po drugiej dopiero wizycie generalnego Komisarza w Senacie Wolnego Miasta i po złożeniu v-prezydentowi Senatu pism, przedstawiających stanowcze stanowisko Rządu polskiego wobec zajść na Politechnice— przyszło jakie takie uspokojenie.

Ocena tak oczywistych faktów wydaje się zupełnie jasna i prosta. Wystąpienia jednak narodowo - socjalistycznej młodzieży niemieckiej traktować musimy nie jako coś wyjątkowego i przypadkowego, — ale jako fakty systematycznie prowadzonej propagandy antypolskiej w Gdańsku. Zajścia we Wrzeszczu należą bowiem do rzędu takich faktów jak walka ze szkołą i językiem polskim, konsekwentna antypolska propaganda prasowa, prowadzona głównie przez naczelny organ gdańskiej partii narodowo - socjalistycznej „Der Danziger Vorposten", sprawa znaczków pocztowych itp. Włączając i ostatnie wystąpienia niemieckiej młodzieży akademickiej do systematycznie prowadzonej akcji antypolskiej na terenie Wolnego Miasta — powiedzieć sobie jasno musimy, że przerwać tę szkodliwą politykę Władz Gdańskich — może i powinna jedynie zdecydowana postawa całego społeczeństwa, które (w wypadku koniecznym), przez stanowcze kroki rządu, zlikwiduje wszystko, co by w obrębie państwa nie było zgodne z wolą narodu i intencjami Rzeczypospolitej. I w chwili, kiedy by Rząd polski zmuszony był do przedsięwzięcia tak zdecydowanej akcji, postawą swoją, jakiej wymaga powaga sytuacji, dalej karnym posłuszeństwem, — społeczeństwo dać musiałoby dowód zrozumienia doniosłości sprawy, aby w ten sposób ułatwić akcję Rządu i dać możność przeprowadzenia postawionych postulatów.

Z emocjonalnego stanowsika (które — jak ostatnio—zamieniło się w niezawsze właściwą akcję) — w sprawach pierwszorzędnej wagi przejść musimy na realną drogę normowania stosunków i konsekwentnego przeprowadzenia postulatów, zgodnych z interesem całego narodu i państwa. Żądania polskie w stosunku do Gdańska nabiorą jednak wówczas tylko mocy, jeżeli za Rządem polskim stanie karne społeczeństwo. Garść Polaków w Gdańsku poczuje za sobą siłę, świadomość istnienia której da podstawy do walki o poszanowanie praw polskich i o przywrócenie spokoju i bezpieczeństwa, fundamentów współpracy i współudziału w rządach Wolnym Miastem.

Dzięki takiej postawie społeczeństwa i takiej ocenie faktów na zimno, na pewno nie usłyszymy więcej kalumnii rzucanych na naród i państwo polskie i trwale zapewnimy poszanowanie praw polskich.

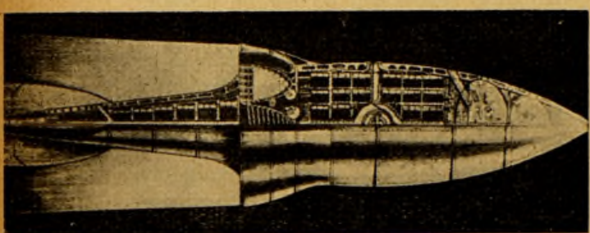


384,395 km dzieli ziemię od KSIĘŻYCA

Zagadnieniem podróży międzyplanetarnych zajmowali się od dowien dawna nie tylko powieściopisarze, ale i uczeni. Ci ostatni coprawda tyle się napatrzyli na księżyc przez teleskopy, że, jak sami twierdzą, więcej o nim wiedzą, niż o ziemi. Człowiekowi jednak nie wystarcza samo patrzenie.

Księżyc jest stosunkowo niedaleko od ziemi. Gdyby 9½ raza objechoć ziemię w koło, to akurat zrobilibyśmy tyle kilometrów, ile dzieli nas od pyzatego sąsiada. (384,395 km). Tylko, że ziemię można objechać samochodem i okrętem, lub oblecić samolotem. Z jazdą na księżyc jest gorsza sprawa. Stratosferyczny balon doleci na maximum 30 km., a to przecież jest zaledwie ułamkiem całej drogi. Dalej panuje tak zwana pustka między - gwiezdna, wśród której hula (lub nie) hipotetyczny eter. Musimy tedy zrezygnować ze znanych nam środków komunikacji.

Jules Verne, jakieś 70 lat temu, napisał fantastyczną powieść, w której rzuca myśl, by olbrzymią armatę nabić pociskiem, wielkości wagonu, wsadzić tam ludzi... no i wystrzelić w kierunku księżyca. Pomysły pisarzy mają to do siebie, że zawsze są korygowane przez zimnych i dokładnych matematyków. Obliczyli oni bowiem, że na przezwyciężenie przyciągania ziemskiego, trzeba by nadać pociskowi szybkość początkową 72.000



Rys. 1. Przednia część stalowego pocisku—to luksusowe kabiny, dalej komory magazynowe i aparatura rakietowa

km ! Komentarze zbyteczne! Pasażerowie expresu na księżyc musieliby zmienić nieco trasę wycieczki, kierując się prosto do nieba. Wiemy dobrze, jak można się porządnie uderzyć, gdy np. tramwaj nagle ruszy z miejsca. Wszyscy tracą równowagę, a często gęsto rozbijają sobie głowy i łokcie. To się dzieje już przy szybkości 30-kilka km/g. Zresztą, gdyby nawet pocisk nie zawierał istot żyjących, to wyprawę czekałoby fiasko, przy takiej bowiem szybkości żaden metal nie wytrzymałby gorąca powstałego przez tarcie o powietrze i torpeda wróciłaby na ziemię w postaci deszczu płynnego metalu.

Po innej, jak to dalej zobaczymy, właściwej drodze poszła fantazja Jerzego Żuławskiego, autora trylogii pt. „Na srebrnym globie". Bohaterowie jego powieści jadą na księżyc ognistą rakietą. Pomysł ten został naukowo opracowany przez niemieckiego fizyka Obertha[1]). Za punkt wyjścia swych badań obrał Oberth procesy zachodzące w rakiecie, używanej dla uświetnienia zabaw i manifestacyj. Rakieta taka, to tekturowa rurka napełniona prochem. Szczelne zamknięcie górnego otworu uniemożliwia wydobywanie się tamtędy gazów, które powstają, gdy podpalimy, za pomocę lontu, proch. Gazy spokojnie wybuchają i rozprężają się przez dolny otwór. W myśl prawa fizycznego każdej akcji — towarzyszy równie silna, lecz w przeciwną stronę skierowana reakcja. Rakieta mknie w górę popychana ciągłymi wybuchami prochu, leci tak, dopóki się cały zapas paliwa nie wyczerpie. Gdyby więc zbudować dość pojemną rakietę — to mogłaby dolecić nawet na księżyc. Oberth opracował rysunki takiego między - planetarnego pocisku. (rys. 1). Mieści w sobie kabinę dla pasażerów, składy, oraz całą baterię rur - palników, którymi mają się wydostawać gazy. W aluminiowej powłoce zawarte musi być wszystko, co potrzebne jest na odbycie, tak ryzykownej podróży. A więc zbiorniki tlenu do oddychania i spalania gazów (co nie może się odbyć w próżni), oraz zapas materiałów wybuchowych. Co ciekawsze nie byłby to proch, lecz alkohol, który jest 10 razy wydajniejszy. Regulując długość płomienia, a więc i jego wydajność, co za tym idzie szybkość lotu, za pomocą strumienia wody, rakieta leci, aż do zużycia zapasu paliwa. Po tym automatycznie odpada aluminiowa powłoka, z której wyłania się drugi, trochę mniejszy pocisk z ołowiu. To jest właściwy „pojazd" między - planetarny. Miękkość ołowiu pod wpływem zimna gwiezdnych przestrzeni zmienia się w twardość djamentu. Rakieta jest teraz napędzana 3 razy od alkoholu wydajniejszym skroplonym wodorem. Rury - palnikowe działają w identyczny sposób, jak wyżej opisane, tylko, że rakieta przy napędzie alkoholowym ma szybkość 6480 km/g. a 11240 km/g przy wodorowym.

W odległości 40.000 km od księżyca należałoby rozpocząć hamowanie upadku rakiety. W tej bowiem odległości zaczyna działać siła przyciągania naszego satelity. Z uwagi na to, że przy uderzeniu o skały księżyca rakieta uległaby zdruzgotaniu, musiałaby ona posiadać rury wybuchowe z przodu, by przeciwny kierunkowi lotu płomień zmiejszył szybkość spadania. Jest to jedyny możliwy, w tych warunkach, hamulec.

O tym, jakby wyglądał pobyt ludzi na księżycu, pisano dużo. Humoryści nadużywali w swych nowelkach faktu, że każde ciało waży na księżycu 6 razy mniej, niż na ziemi. Bohaterowie ich grotesek wykonywali zbędne, a śmieszne skoki radując się niezmiernie tym, iż zamiast 80-ciu kg. ważą 13 kg. Gdyby nawet ktoś „wylądawał" na srebrnym globie nie długo bawiłaby go utrata wagi.

Dostępna naszym oczom, a więc i badaniom, część księżyca nie jest bynajmniej przystosowana do ludzkiego pobytu. Brak powietrza do oddychania nie jest trudnością nie do pokonania — to tylko drobnostka. Atmosfera spełnia bowiem, normalnie nie zauważane przez nas, lecz doniosłe zadanie przewodnictwa ciepła. Gruby szal gazowy dookoła ziemi zatrzymuje część palących promieni słonecznych. Łagodzi przy tym różnicę ciepłoty, jaka wynika z istnienia cieni. Za osłoną, rzucającej cień płaszczyzny jest chłodniej, nie jest jednak zimno. Na księżycu zato nie ma atmosfery i chroniąc się przed żarem słonecznym za np. załom skalny, zastajemy tam mróz, w którym nawet gazy się skraplają. Podróżnik ubrany w podobny do nurkowego skafander ma do wyboru rozpalane w słońcu skały, lub ich „odwrotną stronę" do której przymarzają metalowe podesz-



Rys. 2. Samolot rakietowo-benzynowy do lotów stratosferycznych

[1]) Pisze o tym dokładniej inż. H. Dominik w książce: „Zdobycze techniki".

wy butów. Wątpliwym jest, aby przy najlepszym nawet ekwipunku technicznym potrafił zawędrować na drugą, niewidzialną dla nas, półkulę księżyca. A tylko w tym celu wartoby odbyć niebezpieczną wyprawę na naszego satelitę. Nie zobaczymy nigdy jak wygląda on z obu stron, gdyż czas obrotu księżyca dookoła własnej osi, jest identyczny z czasem jego obiegu dokoła ziemi (27 dób 7 godz. 43 minuty 11½ sekundy).

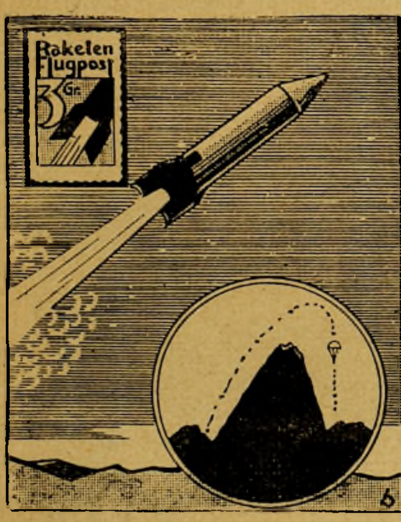
Przyjmijmy jednak, że śmiały badacz dotarł i zwiedził cały księżyc. Jak jednak zakomunikuje swoje spostrzeżenia nam, znajdującym się na ziemi. Fale radiowe nie pokonają przestrzeni dzielacej go od miejsca startu. Czy będzie mógł wrócić z planety, na której dzień trwa dwa tygodnie? Tak! Zadanie to byłoby nawet łatwiejsze od dolecenia do księżyca. Nie zapominajmy bowiem, iż tam siła przyciągania jest 6 razy słabsza niż na ziemi. Poza tym byłaby ona tylko na przestrzeni równej 1/9 całej odległości od ziemi. Aby osiągnąć więc - punkt, w którym działa przyciąganie ziemi, wystarczy zużytkować 54 razy mniej energii, niż to było potrzebne przy podróży w „tamtą" stronę. Hamowanie zaś upadku na ziemię odbyć się może nie tylko za pomocą kontr - rakiet, ale i spadochronu.

Nawet, gdyby wybudowano między - planetarną rakietę, nawet gdyby zaopatrzono ją w extra - pomysłowe urządzenia ogrzewające i chłodzące — to powodzenie wyprawy uzależnione byłoby w conajmniej 70-ciu procentach od astromomicznie ścisłego wycelowania rakiety. Drobna niedokładność, a zamknięci w pocisku ludzie mogą stracić życie, ale co gorsza możność powrotu na ziemię. Zawsze bowiem jest przyjemniej umierać na własnych, ziemskich śmieciach, niż na twardych skałach księżyca.

Lecz kto wie, może za parę setek lat w oślepiającym blasku reflektorów, w obecności tysięcy widzów, startować będzie rakieta „Między - planetarnego towarzystwa podróży".

Porzućmy jednak fantazję. Pojazdy rakietowe, naturalnie nie do komunikacji z księżycem, mają przed sobą wielką przyszłość. Wprowadzenie rakiet jako dodatkowego napędu w samolotach stratosferycznych (rys. 2). Samolot taki startowałby za pomocą silnika benzynowego i następnie pędzony wybuchami rakiet łatwo osiągałby wysokości, na której mały opór powietrza, pozwala osiągnąć przeszło 1000 km godz. lub jeszcze większą szybkość. Aby jeszcze zmniejszyć opór powietrza nie zwiększając jednocześnie ryzyka przy lądowaniu, jeden z konstruktorów rzucił myśl składanych skrzydeł, które mogą dowolnie zmniejszać swą powierzchnię.

Na zakończenie jeszcze jedna ciekawostka z dziedziny „rakiet". Jak podaje „Ilustracja Polska" w n-rze 9 z dnia 26.II-39 między miejscowościami TROETSCH a SEMRIACH w Austrii istnieje od roku 1933-go poczta rakietowa. Jak widzimy na ryc. 3. Stromy szczyt górski uniemożliwia komunikację pomiędzy obu wioskami. Niejaki TRITZ SCHMIEDEL wpadł na pomysł przesyłania listów w rakiecie wystrzelonej pod kątem 65° Materiał wybuchowy obliczono tak, by starczył tylko do przelecenia szczytu górskiego. Automatycznie otwierający się spadochron łagodzi upadek paczki z 300 listami. Poczta ta działa do dziś i posługuje się własnymi znaczkami.



Rys. 3. Austriacka poczta rakietowa



Rys. 4. Księżyc w ostatniej kwadrze zdjęty 33 cm astrografe Obserwator. LOPP im. Marsz. J. Piłsudskiego w Czarnohor:

W. Podhorski - Okołów

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

Dyplomatyczne wizyty.

Wizyta włoskiego ministra spraw zagranicznych hr. Ciano w Polsce odbiła się głośnym echem nie tylko w obu zainteresowanych krajach, lecz również w całej Europie. Główną przyczyną tego zainteresowania było pytanie, jak ustosunkuje się Polska do obecnej polityki Włoch, które przecież prowadzą ją w ścisłym porozumieniu z Niemcami. Polska prowadzi ze swej strony politykę, której główną zasadą jest utrzymanie stałej równowagi między Niemcami a Rosją: z wszystkimi sąsiadami dobre stosunki, nie angażować się na rzecz Rosji więcej, niż na rzecz Niemiec i odwrotnie. W tych warunkach związanie się z Włochami, współpracującymi z Rzeszą, mogłoby przeważyć szalę na rzecz Niemiec i równowagę polityczną naszego państwa zachwiać. To rozumowanie jest pozornie słuszne, w rzeczywistości jednak prócz motorów ewen-

tualnej zbyt daleko idącej współpracy polsko - włoskiej istnieją również w odwrotnym kierunku działające hamulce, jak przede wszystkim wspomniana już zasada równowagi.

Polskę, Niemcy i Włochy łączy dynamizm państw o wielkiej prężności wewnętrznej — stąd wspólne żądanie kolonii. Jednocześnie istnieje szereg punktów polityki międzynarodowej, które są wspólne Niemcom i Włochom, nie mogą być jednak dzielone przez nas. Z drugiej jednak strony istnieją również takie punkty, które będąc wspólne Polsce i Włochom, nie godzą się z dążeniami Niemiec. Jednym z nich jest tradycyjna przyjaźń polsko - włoska, oparta na współpracy kulturalnej, a przede wszystkim na wspólnych przeżyciach historycznych w ostatnim półtorawieczu. Najważniejszym jest jednak to, że zarówno w interesie Polski jak i Włoch leży niedopuszczenie do zbytniego rozrostu potęgi niemieckiej. Tak bowiem jak my na zachodzie i północy, tak samo obecnie Włochy mogą być zagrożone w Tyrolu, który leży na drodze ekspansji niemieckiej ku Adriatykowi. Poza tym Włochy mają swoje poważne interesy na Bałkanach, a posiadanie wpływu politycznego w tamtejszych państwach jest dla nich niezbędnym warunkiem siły. Tymczasem identyczne dążenia wykazują Niemcy w ich ekspansji wzdłuż Dunaju, co oczywiście mocno niepokoi Rzym. Stąd np. mimo wspólnej „osi", Włochy popierały (i popierają) dążenia polsko - węgierskie do posiadania bezpośredniej granicy, podczas gdy Niemcy temu dążeniu w gruncie rzeczy się przeciwstawiały.

Na tle powyższych uwag widzimy, że Włochy i Polska mogły nawet w obecnej chwili znaleźć wiele punktów wspólnych. Dwa najważniejsze z nich — to współpraca na Bałkanach i budowanie tam tamy parciu niemieckiemu, oraz konieczność uzyskania kolonii.

Polska — Rumunia.

Zaledwie opuścił Polskę min. Ciano, gdy mieliśmy już sposobności gościć przedstawiciela innego zaprzyjaźnionego państwa — Rumunii. Min. Grigore Gafencu omawiał w czasie swej wizyty w Warszawie z jednej strony sprawę współpracy politycznej polsko - rumuńskiej na arenie międzynarodowej, z drugiej sprawę zacieśnienia stosunków między obama krajami, czego jednym z wyrazów ma być ściślejsza łączność komunikacyjna i turystyczna. Zagadnienie współpracy politycznej rozbija się tu przede wszystkim na dwa punkty: 1. Rumunia podobnie jak i Polska stoi wobec konieczności otworzenia dróg emigracyjnych dla setek tysięcy zamieszkujących te kraje Żydów, oba jednak państwa nie posiadają kolonii. Wyłania się za tym wspólne żądanie uregulowania sprawy żydowskiej i emigracji przez wszystkie państwa, co łączy się bezpośrednio ze sprawą nowego podziału kolonii. 2. Polsce zależy bardzo na uzyskaniu poparcia ze strony Rumunii dla planów granicy polsko - węgierskiej. Wzamian za to poparcie, które zresztc min. Gafencu miał obiecać w czasie swej wizyty, Polska niewątpliwie dołoży wszelkich starań, ażeby złagodzi i usunąć wszelkie spory, jakie prowadzi Rumunia ze swymi sąsiadami, przede wszystkim właśnie z Węgrami i Bułgarią. W ten sposób przymierze polsko - rumuńskie nabiera silniejszego, niż to dotąd miało miejsce, rumieńca.



Min. Spraw Zagranicznych Rumunii Gafencu

Na zakończenie należy jeszcze zwrócić uwagę, że najważniejsze punkty naszej współpracy z Włochami są jednocześnie podstawami ostatniego porozumienia z Rumunią w czasie wizyty jej ministra spraw zagranicznych. W ciągu zatem tygodnia kierownictwo naszej polityki zagranicznej potrafiło porozumieć się co do wspólnej akcji w sprawie Dunaju i Węgier, oraz emigracji i kolonii z dwoma państwami, nie tylko bezpośrednio zainteresowanymi, lecz przede wszystkim grającymi dziś niebylejaką rolę w Europie.

Zmierzch wojny.

Stado jaskółek, zapowiadających koniec wojny w Hiszpanii, stale i szybko się powiększa. Dwie ostatnie — rewolta i zmiana rządu w Madrycie, oraz przejście marynarzy w Kartagonie na stronę powstańców. Na czele nowego rządu stanął słynny gen. Miaja, obrońca Katalonii. W mowie przez radio, jaką wygłosił zaraz po objęciu władzy, powiedział on między innymi, że będzie dążył do szybkiego zakończenia wojny przy jak najmniejszym rozlewie krwi. Oznaczałoby to, że istnieją możliwości podjęcia rokowań między obiema stronami, co równałaby się przerwaniu działań wojennych, a przy pomocy mocarstw takich, jak Anglia i Francja, doprowadziłoby niewątpliwie do jak najrychlejszego wyjaśnienia sytuacji. Spodziewać się tego należy lada dzień.

Dokoła młodzieży.

Oddawna sprawy młodzieży nie wzbudziły tyle zainteresowania, co w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Wpłynęła na to z jednej strony debata sejmowa nad budżetem ministerstwa Wyznań Rel. i Oświecenie Publ., z drugiej — awantury i demonstracje, których świadkami stały się niektóre miasta i wyższe uczelnie. Nie będziemy wchodzić w szczegóły. Należy tylko podkreślić zgodność całej opinii polskiej, potępiającej awantury akademickie, które dla osiągnięcia celów politycznych doprowadzają wyższe uczelnie polskie do stanu nieustannej anarchii, w której nieodpowiedzialne grupy i jednostki dopuszczają się poprostu morderstw na swych własnych kolegach. Ludzi, którzy to czynią, a którzy normalnie odpowiadaliby za takie czyny więzieniem, chroni obecnie prawo o autonomii wyższych uczelni, które zabrania władzom wstępu na ich teren. Zarówno Parlament, jak i cała prasa polska i społeczeństwo coraz kategoryczniej żądają zakończenia tego stanu przez poczynienie takich reform w zbiorowym życiu młodzieży, które uniemożliwiłyby anarchizowanie go, skierowały natomiast młodzież do pracy kształceniowej i obywatelskiej.

Leost.



tutejsi czekają

Mieliście kiedy w ręku wyniki spisu ludności w Polsce? Czy nie zauważyliście, przeglądając najróżnorodniejsze tablice i wykresy, wśród rubryk narodości, lub języka ojczystego rubryki „Tutejsi"? Czy zastanowiliście się co to znaczy? A nie jest to drobnostka. Spójrzmy na tabelę, przedstawiającą strukturę narodowościowo - językową województwa



Szkoła Polskiej Macierzy Szkolnej w Wiwniewie.

poleskiego, według spisu powszechnego z roku 1931. Jest tam owa rubryka „tutejsi", reprezentowana liczbą ludności 707,089, co stanowi 82,5% całej ludności.

Kto był na Polesiu, kto zetknął się choć raz z ludnością wsi poleskiej, kto na pytanie „Jak się nazywa ta rzeka?" otrzymał odpowiedź „A... woda" — ten wie, jak wygląda „tutejszy". Zrozumiemy to lepiej, przejrzawszy jeszcze liczby analfabetów w województwie poleskim, których liczba waha się w 35% ludności.

To nam wystarczy do zrozumienia sprawy. Nie żądajmy świadomości narodowej od analfabety.

Spójrzmy teraz na tę sprawę z innej strony. Etnografia, archeologia i antropologia zgadzają się co do faktu, że typ fizyczny przedhistorycznego słowianina poleskiego, jak i współczesnego Poleszuka różni się wybitnie od typu Białorusina, Ukraińca i Rosjanina. Tę odrębność etniczno - plemienną wraz z brakiem cywilizacji i brakiem szlaków handlowych i kulturalnych tłumaczy nam te 62% „tutejszych". Zakreślmy teraz na mapie Polski obszary etniczne ukraińskie, białoruskie, oraz obszar Polesia.

I oto staje przed nami zagadnienie państwowe wielkiej wagi: Skolonizować kulturalnie Polesie, wbić klin polskości pomiędzy obszary białoruskie od północy i ukraińskie od południa. O duszę Poleszuka toczy się od wieków walka pomiędzy etnicznymi wpływami polskimi, białoruskimi, rosyjskimi (dziś przez komunizm) i ukraińskimi. Że walka daleka jeszcze przed nami, świadczy o tym ogromny procent „tutejszych" na Polesiu. Wejdą oni do rubryki tej narodowości, która da im kulturę, oraz poprawę bytu. Pamiętajmy, że „tutejsi" czekają...



Uczennice gimn. P.M.S. przy pracy przed gwiazdką dla najbiedniejszych dzieci w Brześciu.

W akcji polonizacji Polesia główną rolę grają trzy czynniki: służba wojskowa, akcja gospodarczo - kolonizacyjna i oświata. Przy służbie oświatowej jest jeden mały odcinek, na którym my młodzi możemy pełnić swą służbę. Odcinkiem tym jest akcja pomocy szkołom na Polesiu. Właściwie źle brzmi nazwa tego odcinka, bo przypomina filantropię, a tu wcale nie chodzi o filantropię. O co chodzi, to już wiemy, ale jak się brać do tego?

A więc najpierw znajdźmy grupę, która się tą sprawą zainteresuje (samorząd klasy, zastęp harcerski).

Zdobądźmy następnie adres jakiejś szkoły na Polesiu. O taki adres (i nazwisko nauczyciela) można się zwrócić do Kuratorium Okręgu Brzeskiego w Brześciu n. Bugiem, do Inspektoratów powiatowych, lub do Polskiej Macierzy Szkolnej (Warszawa, Krakowskie Przedmieście 7). Potem napiszemy do szkoły z propozycją nawiązania kontaktu.

Najlepiej napisać jeden wspólny list do nauczyciela, a każdy z zespołu niech napisze krótki list osobisty, które nauczyciel rozda tym, którzy (lub które) będą chcieli korespondować. Opiszcie Poleszukom swoje życie, zajęcia, zabawy i proście o to samo z ich strony. Poproście nauczyciela, aby Wam opisał jak pracują dzieci w szkole i w domu, jakie mają warunki pracy, przybory. I wtenczas, jeśli się na prawdę swymi młodszymi kolegami zainteresujecie, jeśli włożycie w tę sprawę trochę serca, to wszystko dalej będzie już łatwe. Bo jeżeli zaoszczędzisz trochę kartek przeznaczonych na „bazgroły" w brulionie i poślesz je, wraz z serdecznym listem swemu korespondentowi, to nie będzie w tym trudności.

Jak bardzo mogą się przydać w biednej szkole rzeczy pozornie bezużyteczne, niech świadczy fakt, że rzeczą najcenniejszą spośród zeszytów, obrazków, posłanych raz w paczce przez nasz zespół, były zrzynki papieru, zebrane w wielkiej ilości u introligatora. Często takie drobiazgi, które się zwykle wyrzuca, niedokrawki, kawałki tektury i kolorowych papierów, pisma ilustrowane, nawet czasem papierki od cukierków, wszystko to może być wykorzystane w szkole, której środki są minimalne. A gdybyście się czasem wystarali o dobrą książkę, to już radość będzie wielka. Jeśli Wam zaś przyjaciel z Polesia prześle od siebie swój skarb, przyjmijcie to, jak cenny prezent i podziękujcie serdecznie.

Ale powtarzam: Ta Wasza pomoc ma być tylko świadectwem, dowodem Waszego zainteresowania, Waszej współpracy i przyjaźni. Musicie się wzajem poznawać i zbliżać. Wtedy dążyć będziemy codziennym drobnym wysiłkiem prosto do celu. Wiele szkół prowadzi już taką akcję, wiele instytucyj tworzy tzw. Koła Opiekuńcze przy Polskiej Macierzy Szkolnej. Ale wiele jest jeszcze szkół poleskich nie objętych akcją, czekających na współpracę i pomoc.

A teraz jeszcze gorąca prośba do tych, których by ten artykuł zachęcił do pracy. Zastanówcie się dobrze i głęboko, czy starczy Wam do tej pracy zapału. Jeśli go macie zbyt mało na prowadzenie pracy ciągle, choćby przez dwa lata, a w razie rozproszenia się Waszego zespołu (klasy) nie będziecie mieli innego odpowiedzialnego zespołu, który by po Was tę pracę podjął i poprowadził, to lepiej nie zaczynajcie wcale. Taka praca, jeśli ma dać rezultaty prawdziwe i dodatnie, musi być prowadzona wytrwale przez długi czas.

M. JASTRZĘBIEC

Sztafeta

Oto jest życie ludzkości: odwieczna, szalona sztafeta —
której początku nie znamy i w której nie wiemy, gdzie meta.

Biegniemy ze swoją pałeczką, każdy na swojej trasie,
po świata szerokiej bieżni — prędko, by czasu nie tracić.

Szkoda nam każdej sekundy i dnia i miesiąca i roku —
wbijamy swe stopy w przestrzeń przemądrą rytmiką kroków.

Nie wiemy, kędy jest meta, kędy zwycięski jest koniec —
w mięśniach wysiłek się pręży, a w uszach pogoń nam dzwoni.

Wiemy, że wszystkie odcinki w trasę się łączą jedną —
im prędzej pałeczkę oddamy, tym prędzej następni dobiegną...

Tam nowi ludzie czekają — i bieg się na nas nie kończy —
jest tysiąc odcinków na trasie, a jedna pałeczka nas łączy...

Biegniemy krokiem sprężystym, ciągłą, falistą grą mięśni —
bieg nasz nazywa się radość! bieg nasz nazywa się szczęście!

Lecz nie dla biegu biegniemy ani dla trybun oklasków!
mamy swój wielki ideał, co nas przyciąga swym blaskiem!

Oto jest nasza sztafeta, gnana porywem nadziei,
gdzie jedni drugim podajem z serc do serc płomień idei!

WITOLD DEGLER



KAZIUK

Kult św. Kazimierza głęboko zakorzenił się w sercach Wilnian. Dzień Jego imienin 4-go marca uroczyście jest obchodzony przez ludność Wileńszczyzny. Wilno przywdziewa szatę świąteczną, chociaż oficjalnie święto zostało zniesione. Corocznie w dniu Patrona Litwy odbywa się w Wilnie słynny na całą Polskę kiermasz zwany przez miejcowych regionalistów „Kaziukiem". „Kaziuk" dla Wilna — to dzień radości, to pierwszy powiew utęsknionej wiosny i ruch w interesach gospodarczych ludności Ziemi Wileńskiej.

Ciche dotąd miasto, wykroczyło z normalnego biegu życia. Już od rana w mieście ruch, ulice pełne ludzi. Tłum przelewa się z chodnika na chodnik, z ulicy na ulicę. Jezdnią ciągną, niby szare żurawie w polu, jeden za drugim, małe, rozklekotane wózki chłopskie, zdążające na rynek Łukiski, gdzie odbywa się kiermasz. Dworzec wypełniony turystami, których grupy raz po raz wyrzucają pociągi popularne, przybywające z całej Polski. Ryczą taksówki i autobusy, dzwonią podkutymi kopytami konie dorożkarskie.

Łaskawsze już, marcowe słońce wznosi się na pogodne niebo. Jeszcze ranny mróz daje czuć, że to jeszcze zima, chociaż w miejscach osłoniętych od północy śniegi już się stopiły. Wraz z mnogim tłumem zdążam na kiermasz zachwycając się cudną pogodą.

— A ciasno tu, jak w Arszawie — podsłuchuję rozmowę dwóch chłopów.

— No, wiadomo „Kaziuk". Raz to w roku tylko bywa, i to w początkach wiosny. Nie dziwno, szło tak mnoho ludzi. Każdy chce poweselić sia trocha po tej ciężkiej zimie.

Ulice otoczające obszerny plac Łukiski wypełnione po brzegi. Oto, nad głowami morza ludzkiego, wykwitają długim szpalerem przeróżne, a mieniące się tęczowymi barwami kwiaty sztuczne i palmy. Tu i gałązki wierzbiny z wiosennymi baziami, ubrane misternie, a z smakiem. A naokoło kręcą się, a kupują urocze koleżanki, z zaróżowionymi buziami podobne do tych kwiatuszków ślicznych. I starsze panie najchętniej tu przybywają, bo takie to już porządki na świecie tym Bożym, że piękne lubi piękne. Wiadomo, ładna to pamiątka, takie kwiatki cacane, kotki jedwabne, niby brzozy prawdziwej, mięciuchne a delikatne.

Ale nad wszystkimi cudnościami „Kaziuka" góruje „serce kaziukowe" i obwarzanki smorgońskie, których to nie kupić i nie jeść, to to samo, co być w Wilnie i Ostrej Bramy nie widzieć. Musi ten „Kaziuk" był wielce miłościwym, kiedy dotąd różowe, małe, większe i największe serca wykładane są w kwiatki białe i czerwone, albo i w słowo miłosne przybrane, jak: „Kocham Cię" lub „Zawsze będę Twój" itp. Albo te „obwarzaneczki" smorgońskie, małe a z wierzchu makiem posypane, kruche, tak, że za najlżejszym naciskiem zębów, rozsypują się w drobne kawałeczki. A już najmilej wygląda koleżanka, roześmiana, a obwarzanków pełne naręcze mająca, może i usta. Bo dziś nikt jej nie zaliczy na karb złego tonu, gdy na ulicy zje wianek (a to niedużo) obwarzanków smorgańskich.

— Serduszka Kaziukowe, moi mili państwo, obwarzanki najlepszego gatunku — jak za darmo — nawołuje przekupka. Zbliżam się. O, o tu jest lepiej. Zamiast banalnego: „Kocham Cię" czy „Zawsze będę Twój" widzę napis: „Pamiątka z Kaziuka" Trzeba kupić, a jakże.

— Toż, same cudności, mój złoty panoczku. Słodziusieńkie a z ciasta najlepszego, ziela pachnącego wiele mające — przekonywuje otyła jejmość w białym fartuchu. Naturalnie nie będę go jadł, ale wedle tej pamiątki tylko. A dalej stragany z zabawkami uciesznymi. Raz po raz puka strzelba, strzelająca korkiem wyrzucanym przez sprężone powietrze. Małe gliniane kaczuszki uszeregowały się obok, a filuternie spoglądają na kupujących. Obok skacze mały smyk z uciechy, bo tatuś szablę kupił. Zelazna, taka jak u Napoleona była, dźwięczy tylko gdy uderzy się ją o coś twardego. Do kieszeni pakuje żołnierzyków ołowianych a na „świstuszce" przeraźliwie wygrywa. Przesuwamy się teraz przed straganami organizacji społecznych, przeważnie młodzieżowych, jak: harcerzy wileńskich. O. M. P.-u, P. W. K., Junackich Hufców Pracy. Wszędzie jest coś nowego, godnego uwagi, a nawet kupna. Młodzież pracuje — próbuje swych sił w pracy społecznej— mówią stragany młodzieżowe.

Godzina 12-ta. Niespokojne tłumy zaległy chodniki ulicy Mickiewicza, bo oto zaraz ma przejść tradycyjny pochód kiermaszowy, wymysł z przed sześciu lat. Policjanci z trudem utrzymują porządek. Tłum faluje. Pod nogami nieprzyjemnie chlupoce woda, lub błoto, bo śniegu tu już ani śladu.

— Ooo, idą już, idą. — słyszy się. Jakoś niebawem ukazał się ciężarowy samochód poprzedzony przez tańczących skautów i członków klubu Włóczęgów. Muzykant wiejski rżnie na harmonii od ucha, ludzie patrzą, a tłum słucha. Na platformie ogromny piernik, a w dole serce takież z napisem „Kaziuk". A dalej kreatury gospodyń wiejskich ubrane w samodziały, a „len" podparł się pod boki i dumnie zadarł głowę. Po tym chór z hymnem: „Omni die dic Mariae..." na ustach. A po tym znów pierniki, świstuszki i serca.

Zawracam i idę nad Wilię, gdzie skupił się handel wyrobów ludowych. Uwijają się między wozami, a kupami kół, balii, a ceberków rozlicznych. skrzetnę gosposie, aby kupić taniej. Kwitnie handel.

— Wincuk, już ty sprzedał wszystko? — zapytuje chłop swego sąsiada.

— A już! Nu, to pójdziem sobie kupić cosik, bo okabja fajna, i nie prędko się zdarzy. Poszli.

— Ubranie gotowe sprzedaję, jak za darmo — deklamują handlarze różnej garderoby, albo: „Buty tanie a mocne kupujcie". „Materii różnej a delikatnej mam dużo. Proszę paniuszki, proszę!" I wszystko się kupuje, nawet drobne rupiecie, a stare żelastwo jest w gospodarstwie wiejskim potrzebne.

Patrząc na takiego „dziadźkę w kożuchu" nasuwają się na myśl, smutne refleksje o naszej wsi kresowej, gdzie to gnieździ się tyle ciemnoty i zacofania, niezaradności życiowej i biedy. Wracam. Słońce już niechętnie spogląda na rozbawiony tłum, kryjąc się za kamienicę. A nad placem panoszy się hałas. Wesoło dźwięczą a beztrosko śmiechy uczenic i uczniów, dzieciaki wygwizdują na świstuszkach, handlarz miotając w tłum piłką na gumce uwiązaną, krzyczy: „Amerykańskie jojo sportowe, tylko za 10 gr. sztuka". Nogi ciążą, bucikí też, ale na twarzy uśmiech. W jednym ręku pęk obwarzanków smorgońskich, a w drugim serca z napisem: „Pamiątka z Kaziuka". Tak dobrze spędzony dzień.

W. Chilimon
Liceum Techniczne

Wilno. 5.III.1939 r.

KOLEŻANKI W LUBLINIE PRZY PRACY

(GIMNAZJUM IM. „UNII LUBELSKIEJ")

Duża szkoła żeńska w Lublinie. Ogromny gmach, zalany słońcem, urządzony jest nowocześnie, korytarze obszerne i jasne, klasy duże. Wszędzie dużo zieleni, a przez okna widać śliczne boisko i ogród. W szkole cisza. Lekcje się już zaczęły.

Od Pani Dyrektorki uzyskuję pozwolenie porozumienia się z uczennicami w sprawie pisma. Tak się szczęśliwie składa, że kl. I c ma wolną godzinę mogę więc odrazu zapoznać się z dziewczętami. Miło jest porozmawiać o sprawach szkolnych. Interesuje mnie życie szkoły, a specjalnie samorząd, jako organizacja, która przeważnie ogniskuje wszelkie prace szkolne. Dowiaduję się, że i w gimnazjum i w liceum jest samorząd jako instytucja centralna, a obok niego istnieją jeszcze koła naukowe. — Cóż leży w kompetencjach samorządu? — przede wszystkim sprawy porządkowe, w każdej klasie przedstawicielki samorządu pilnują porządku, przestrzegają karności i wypełniania przepisów szkolnych. W skład samorządu wchodzą sekcje L.O.P.P. i L.M.K.; samorząd prowadzi także akcję społeczną. — Akcję społeczną, a jakiego rodzaju?

„— Opiekujemy się szkołą powszechną, posyłamy tam śniadania, urządzamy dzieciom choinkę."

— „To musi być bardzo miła i dająca dużą satysfakcję praca, wiem, że np. niektóre szkoły opiekują się szkołami na Polesiu, więc czy..."

„My też, my też", — przyrywają mi moje rozmówczynie, — „myśmy też przez pewien czas pisywały na Polesie i otrzymywałyśmy stamtąd bardzo miłe listy. Teraz też jeszcze jedna z klas utrzymuje z tymi dziećmi korespondencję".

„I wszystkimi tymi sprawami zajmuje się samorząd?" „O tak samorząd kieruje całkowicie naszą pracą społeczną". — A więc może koleżanki napiszą coś do pisma o swojej pracy, o tym w jaki sposób prowadzicie robotę i jakie macie rezultaty?" — Dobrze, ale przecież to na pewno nie będzie dla nikogo ciekawe". — „Na pewno będzie ciekawe, przecież praca społeczna, sposoby jej prowadzenia to bardzo dla nas wszystkich interesujący temat. Proszę koniecznie coś napisać. W ten sposób nawiążą koleżanki kontakt z pismem, którego przecież „zadaniem jest zobrazować życie i zainteresowania młodzieży szkolnej".

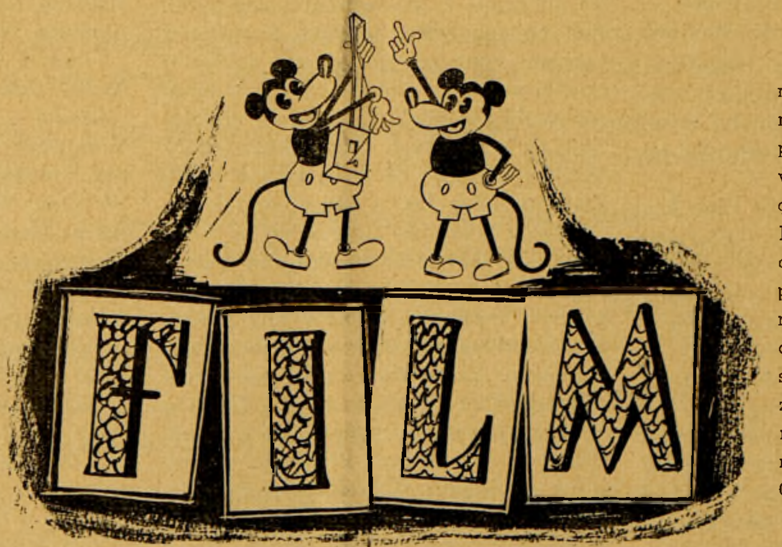
W dalszym ciągu rozmowy na tematy szkolne dowiedziałam się, że koleżanki mają klub dyskusyjny, wyszukują bardziej wartościowe książki i po przeczytaniu, omawiają je na zebraniach dyskusyjnych.

A później raz jeszcze gorąco zachęcałam do współpracy z pismem, które przecież tylko wtedy będzie rozwijało się pomyślnie, jeśli zdobędzie zainteresowanie i serdeczne poparcie wśród młodzieży szkolnej. Czas szybko mijał i trzeba było skończyć tę tak miłą pogawędkę.

W dwa dni później miałam sposobność być na uroczystości zlania się dwóch drużyn harcerskich w tymże gimnazjum, a potem na zbiórce poświęconej wspomnieniom obozowym.

Tak, wspomnienia z wakacyj i miłych wrażeń długo trwają w sercach. Ale nie można żyć wspomnieniami — w gimnazjum tętni życie idzie praca. Nauka, a obok nauki praca samokształceniowa i społeczna, które, choć w małym zakresie, rzetelnie i z zapałem prowadzone, przygotowują do wypełniania w przyszłości obowiązków względem państwa i narodu.

Nowakowska Wanda



Miasto Chłopców — reż. Norman Taurog, wytw. Metro - Goldwyn - Mayer. W rolach gł. Spencer Tracy, Mickey Ronney.

Film ten jest oryginalnym skojarzeniem europejskiej mentalności i sposobu realizacji amerykańskiej. Filantropia w amerykańskim wydaniu. Ojciec Flanagan (Spencer Tracy) zakłada wychowawczy dom dla dzieci ulicy, opierając swą działalność jedynie na datkach społecznych. Głównym źródłem „dochodu" jest jubiler - zegarmistrz, u którego można zaobserwować typową dla umysłowości ludzi z Nowego Świata — walkę wewnętrzną pomiędzy bussinesmanem a filantropem

Film doskonale obrazuje nam psychologię młodzieży ulicy, pozbawionej opieki rodzicielskiej, która sama musi się troszczyć o swój byt. Ojciec Flanagan, zbierając małych włóczęgów pod dach swego zakładu, który w miarę lat coraz się bardziej rozrasta, nie ma złych dzieci. Typowym przykładem, na którym widzimy doskonałe wyniki jego metody to 14 letni Whithey March (Mickey Ronney) brat gangstera, w którym powoli, pod wpływem ciepła i zrozumienia okazanego mu przez Ojca Flanagan topnieją złe instynkty i po paru latach mały zbój potrafi zająć w młodocianym społeczeństwie rolę kierownika - burmistrza Miasta Chłopców.

Pomysł wyborów na burmistrza, — jest perełką w swym rodzaju, choć może dla mentalności europejczyka nieco niezrozumiałą. Ciekawie ujęte jest zagadnienie kar w Mieście Chłopców. Mały „przestępca" zostaje np. skazany za ja-

kieś przewinienie przez aeropag sędziów, składający się ze starszych wychowanków zakładu na pójście... do kina, lecz musi cały seans stać tyłem do ekranu. Porachunki między powaśnionymi stronami odbywają się na ringu w rękawicach bokserskich, a sekundantem jest sam kierownik zakładu.

Na pierwszy plan filmu wybija się przepiękna postać Ojca Flanagan. Ten niezwykły człowiek, rozpoczynający swą pracę z 10 dolarami w kieszeni i wielkim, pełnym poświęcenia się dla sprawy, sercem — walczyć musi nie tylko w swej pracy pedagogicznej z ciężkimi niejednokrotnie „charakterami" swych chłopców, ale równocześnie staczać zażarty bój z opinią społeczeństwa. Ojciec Flanagan wychodzi zwycięsko z tej walki. Miasto Chłopców rośnie, a największy wróg ideałów twórcy Miasta Chłopców — naczelny redaktor miejscowej gazety — przekona się, że nie ma na świecie złych dzieci są tylko spaczone przez zły wpływ środowiska, z których przy pomocy dobrego serca można wykuć prawdziwego człowieka.







TEATR

DZIEWCZYNA Z LASU

Sztuka w 3 aktach J. Szaniawskiego „Teatr Ateneum"

„Nie było nas, był las", nie będzie nas, przeminą nasze dzieci i wnuki, a przetrwa przez wieki majestatyczny, prastary las. Piękny jest i tajemniczy, jak odwieczne prawa przyrody. Jest jakby księgą, w której wyczytać można miłość, dramat i śmierć. Las ma swoje prawa potężne choć niepisane. Na każdym kroku czai się nieubłagana walka o byt. Gajowy i kłusownik to dwaj odwieczni wrogowie. Dziś jeden, jutro drugi będzie górą. Takie jest prawo boru.

Las — można rzec — jest bohaterem nowej sztuki Jerzego Szaniawskiego. Las wykołysał i wychował córkę gajowego Ankę. Kochała dziewczyna bór, przestrzeń i leśnego, (wolnego jak i ona człowieka), Olka Jastrzębiaka. Był kłusownikiem; miała 15 lat jak go aresztowano. Wyła z rozpaczy i niemocy.

Tymczasem ojciec, chcąc mieć córkę „kształconą" posłał ją do miasta, do szkół. Skończyła akademię i została sekretarką, a potem i narzeczoną dziedzica. Nagle w ustabilizowane życie Anki wdarł się zgrzyt. Zjawia się wypuszczony z więzienia Olek. Siedem lat męczył się tam przy szewskim stołku, w czterech zamkniętych ścianach. On królewicz wolny lasu i przestrzeni. Teraz gdy poczuł bliskość boru, krew mu inaczej zaczęła grać w żyłach. Trzeba mu tylko broni. Błaga o nią Ankę, zaklina na pamięć o dawnych latach. Ta daje mu wreszcie dubeltówkę, byle by poszedł i wspomnień nie budził. Nadszedł dzień hucznych zaręczyn, przerwanych niezwykłym zdarzenie. Stary gajowy postrzelił śmiertelnie Jastrzębiaka. Usłyszała to Anka, rzuciła się na ojca „z pazurami".

— „Zabiłeś go! zabiłeś!", i niepomna na nic rzuciła wszystko i poleciała w las.

W każdym stworzeniu, gdzieś w zakątku, pod maską nawet cywilizacji ukryty drzemie rezerwat dzikości. Wystarczy czasem silniejszy dźwięk, jakieś echo odległe, aby dzikość stanęła beszczelna w swej pięknej nagości prawdy.

Dlatego to Anka porzuci i zburzy misternie zbudowany gmach szczęścia i ucieknie do losu, do umierającego Jastrzębiaka.

Dlatego to „coś" każe Wielorzeckiemu nie niszczyć lasu, a jego przyjacielowi błądzić i marzyć wśród drzew.

W sztuce Szaniawskiego las jest siłą fatalną, wiążącą ludzi i zdarzenia. Wszystko dzieje się przez las, dla lasu.

Autor kreśli z właściwą sobie wirtuozją sylwetki „leśnych ludzi". Anka, to wydarte z lasu i oswojone stworzenie. Nie pomoże cała nauka i cywilizacja, gdy ozwie się wołanie: powróć, bo — jak mówi ojciec: — „... nie na pańskie ci parkiety, ale w las wilcze szczenie!"

Stary gajowy, to przebiegły, a odważny prawdziwy lis leśny.

Dwór szlachecki jest tu zmodernizowany, z maszyną do pisania i telefonem. A pan dziedzic nad portret prababki przekłada fotografię rasowej krowy, i zajmuje się eksperymentami hodowlanymi.

Postać doby minionej, to wuj Wielorzeckiego, „czerwony hrabia".

Teatr Ateneum dał sztuce godne jej piękne ramy. Na czoło zespołu wysunął się wspaniałą sylwetką gajowego mistrz Jaracz. Rolę tytułową subtelnie oddała p. Bonacka. Reżyseria p. Perzanowskiej. **Stefan Kalicki**

KOLEŻANKI I KOLEDZY!

Sprawa dojrzała! Pracowaliście dotychczas w roli korespondentów i kolporterów pojedyńczo, odosobnieni w swych wysiłkach około rozpowszechniania „Młodego Nurtu" i jego idei. Nieskoordynowane wysiłki nie zawsze jednak dawały pozytywne rezultaty: odosobnieni i zrażeni często trudnościami zaniechaliście pracy podjętej z entuzjazmem. Najdrobniejsze nawet zespoły ludzi owianych wiarą łatwiej przetrwają pierwsze niepowodzenia, łatwiej przezwyciężają piętrzące się trudności.

Dlatego rzucamy myśl; idziemy do Was po jej aprobatę, szukamy chęci realizowania jej czynem.

Chodzi mianowicie o tworzenie na terenach szkolnych ściślejszych zespołów, współpracujących z Redakcją „Młodego Nurtu". Forma takich Komitetów redakcyjnych może się ograniczyć do podjęcia działalności na terenie jednej szkoły. Prócz tych, w miejscowościach, gdzie jest kilka gimnazjów i liceów, można w przyszłości pomyśleć o komitetach międzyszkolnych.

Cele istnienia komitetów można sformułować w w trzech lapidarnie ujętych punktach:

1. Propaganda pisma przez zorganizowanie kolportażu, zaznajomienie i powiadomienie o istnieniu, pracach i ideach wszystkie uczenice i uczniów na zebraniach kół samorządowych, naukowych i innych, zorganizowanie sprzedaży przy sklepiku szkolnym, rozlepianie afiszy itp.
2. Ścisły kontakt z Redakcją: zbieranie i przesyłanie materiałów, wysuwanie dezyderatów pod adresem Redakcji, urządzanie w szkole (na zebraniach kół) wspólnych dyskusji na tematy poruszone w „M. N.", poddawanie nowych tematów, zbieranie opinii, przesyłanie reportaży i wywiadów z osobami, fabrykami itp.
3. Obowiązek zakładania komitetów redakcyjnych w sąsiedniej szkole (w tym samym lub innym mieście).

Krótko i niewyczerpująco podajemy możliwości prac komitetów. Ale też nie o program i statuty nam chodzi; praca i jej wydajność jest sprawdzianem zrozumienia i chęci. W pracy ideowej najpiękniejsze programy runą, jeśli nie podeprą ich ludzie i czyny.

Rzucając myśli, szukamy śmiałych inicjatorów organizowania nowych form współpracy z „Młodym Nurtem".

REDAKCJA.



Kol. Z. S. Kielce. Zapowiedzianej fotografii nie otrzymaliśmy. Warunki kolportażu w Nr. 5, który przesłaliśmy. Część nadesłanego materiału zatrzymujemy. Życzymy powodzenia w pracy.

Kol. A. S. Zdołbunów. Wywiadu nie możemy zamieścić, gdyż robi na nas wrażenie mało poważnego. Co do reszty materiałów, to część z nich wykorzystamy. Adresy o które prosicie: p. Goetel Targowa 44, p. Bandrowski: Boduena 3. Prosimy o wyszukanie na terenie gimnazjum Waszego zastępcy i o podanie jego adresu Redakcji. Życzymy powodzenia w pracy.

Kol. Z. S. Krotoszyn Wkp. Za miłe słowa pod adresem pisma dziękujemy. Nowelkę zatrzymujemy, lecz mimo, że styl dobry, ze względu na poprzednie zobowiązania i wielką ilość nowel nie możemy na pewno obiecać, że będzie drukowana.

Piszcie artykuły z życia szkolnego i na tematy interesujące młodzież. Numery do kolportażu przesłaliśmy. Życzymy powodzenia w pracy.

Kol. Tusia M. Łumieniec. Chęć współpracy Koleżanki z nami bardzo nas ucieszyła. Prosimy o nadesłanie artykułów do wglądu, gdyż tytuł sam niewiele mówi. Przysłana praca nie pójdzie. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. A. Ł. Poniewież — Litwa. Za zdjęcia dziękujemy. Zaginione numery wysłaliśmy powtórnie. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. E. P. Bielsko. Prosimy o artykuły, korespondencję z terenu gimnazjum omawiające życie szkolne. Wiersz słaby. Należy bardzo dużo czytać i pracować nad formą. Czekamy na materiały i przesyłamy pozdrowienia.

CO CZYTAĆ?

Książki o treści społecznej:

„Pamiętniki Chłopów". W-wa 1936. Wyd. Instytut Gosp. Społ. str. 889.

Hessen Sergiusz „Szkoła i demokracja na przełomie". W-wa, 1938, stron 493. Wyd. Nasza Księgarnia.

Książki o treści popularno - naukowej:

Beebe Wiliam. „Galapagos". Na krańcach świata". W-wa 1937, str. 348. Wyd. Trzaska, Evert i Michalski.

Burdecki Feliks. „Walka o atom". Lwów, 1938. Państw. Wyd. Książek szkolnych.

Beletrystyka:

Halina Górska. „Ucieczki". Warszawa 1939. Tow. Wyd. Rój.

Jüri Parijogi. „Chłopiec-Stal" przekł. z estońskiego, str. 223. Wyd. Biblioteka Polska. W-wa, 1939.



SKOŃCZYŁ SIĘ FIS — w który społeczeństwo polskie włożyło wszystkie swe możliwości organizacyjne i dobre chęci; musiała się więc i skończyć przeklęta przez zawodników i kibiców słynna F I S - Vetter czyli pogoda fisowa. Obecnie turyści korzystają z doskonałych warunków śnieżnych, które mają się podobno utrzymać do końca kwietnia. Choć zawody przeminęły niepowrotnie, choć rozjechało się z Zakopanego towarzystwo międzynarodowe — pozostało jeszcze coś, co przetrwa wiele lat. Pozostały dziesiątki tysięcy wierszy drukowanych w kilkunastu językach, tysiące fotografii reprodukowanych w prasie całego świata, cały szereg danych statystycznych



i wiele wspomnień, które będą się zawsze zaczynały „A pamiętasz wtedy, podczas FIS-u..." Wspomnienia bledną, lecz cyfry będą zawsze żyły.

Oto parę przykładów: podczas FIS-u przeprowadzano dziennie 2 tysiące rozmów telefonicznych, z tego 400 zamiejscowych. Najdłuższa rozmowa trwała 82 minuty — to dziennikarz norweski nadawał swe wrażenia z niespodziewanego zwycięstwa Bergendhala na 50 km. Znaczków pocztowych z motywem Fis sprzedano za 100 tysięcy złotych, zaś gratisowych biletów na zawody rozdano 1411. Kwatera prasowa obsługiwała 200 dziennikarzy, z tego 120 zagranicznych, wydając 42 komunikaty, dostarczając 15 tysięcy zdjęć. Wiadomości radiowe objęły 1103 minuty transmisji w Polsce i i 2360 minuty zagranicą w 7 krajach.

HOKEJOWE MISTRZOSTWO POLSKI zdobyła ostatecznie drużyna KS Dąb Katowice przed Warszawianką, Ogniskiem, Polonią, Czarnymi, Cracovią i ŁKS-em. Zespół poznańskiego AZS-u nie stawił się do rozgrywek. Wyniki były następujące: Dąb pokonał Ognisko 6:1, Polonię 5:1 i Warszawiankę 4:0, Warszawianka wygrała z Polonią 1:0, Ogniskiem 4:2 i Czarnymi 6:1, Ognisko pokonało Polonię 1:0, Czarni wygrali z ŁKS-em 5:1 i Crocovią 3:1, a Cracovia zremisowała z ŁKS-em 1:1.

MECZ BOKSERSKI WARSZAWA — WIEDEŃ rozegrany na sali Cyrku warszawskiego, zakończył się zwycięstwem drużyny warszawskiej w stosunku 13:3. Wyniki walk były następujące: Rotholc bije Richtera na pkt., Sobkowiak zwycięża Sevcika na pkt., Małecki bije Mattha na pkt., Tomczyński remisuje z Werostą, Kolczyński nokautuje w 1-ej rundzie Kartza, Milewski nokautuje w 1-ej rundzie Friesingera, Archacki przegrywa na pkt. z Kolarem, a Neuding zwycięża na pkt. Blättego.

Reprezentacja Wiednia, która posiada zasłużonych i dobrych techników wypadła bardzo słabo na tle stołecznej drużyny. Mecz ten dowiódł, że Polacy mają ogromny talent bokserski, a co ważniejsze, że Związek Bokserski posiada duży zapas młodego narybku, z którego może czerpać w miarę ubywania z areny zawodniczej gwiazd bokserskich.

MIĘDZYSZKOLNY TRÓJMECZ W PRZEMYŚLU. Z inicjatywy sfer nauczycielskich odbył się w Przemyślu międzyszkolny trójmecz lekkoatletyczny z udziałem reprezentacyj: Lwowa, Przemyśla i Jarosławia. Trójmecz ten stał się więc niejako rewią sprawności fizycznej młodzieży szkolnej tych trzech miast.

Pomijając już fakt bardzo emocjonującej walki, wyrównanej niemal do ostatniej chwili pomiędzy Lwowem a Przemyślem — to sam poziom sportowy zasługuje na baczną uwagę.

Jeżeli w rzucie kulą zawodnik uplasowany na 4-em miejscu osiągnął 12 m 53, a dwaj zawodnicy powyżej 13,50 m, jeżeli w skoku wdal nieznany zawodnik — uczeń osiąga 6,21 m, a w biegu na 50 m 6 sekund, — to można ze spokojem stwierdzić, że praca klubów międzyszkolnych daje wyniki pozytywne.

KALENDARZYK MIĘDZYNARODOWY zawodów lekkoatletycznych został już ustalony i wygląda następująco: 10—11 czerwca Polska — Litwa w Warszawie, 17—18 czerwca Polska—Niemcy w Warszawie, 25 czerwca mecz kobiecy Polska—Włochy we Florencji, 2 lipca mecz kobiecy Polska—Niemcy we Frankfurcie nad Odrą, 15—16 lipca wzgl. 12—13 sierpnia Polska—Rumunia we Lwowie, w lipcu Polska Północna — Estonia w Bydgoszczy, 5 sierpnia Polska — Emigracja w Krakowie, 22—27 sierpnia udział w Akademickich mistrzostwa świata w Wiedniu, 3 września mecz kobiecy Polska—Węgry prawdop. w Katowicach, —10 września Polska—Węgry w Budapeszcie, 16—17 września Polska—Francja w Paryżu, 23—24 września Polska—Norwegia w Warszawie z okazji jubileuszu 20-lecia PZLA.

er.



Myrka, B. Rund i A. Rund obserwują skok Marusarza

WARUNKI KONKURSU REDAKCJI „MŁODEGO NURTU"

dla uczczenia dat 19 i 18 marca

na pracę p. t.

WÓDZ NACZELNY W POLSCE–DAWNIEJ, DZIŚ I JUTRO

1. Uczestniczą w konkursie — uczniowie i uczennice szkół średnich — prenumeratorzy „Młodego Nurtu".
2. Termin przedstawienia pracy konkursowej do Redakcji „Młodego Nurtu" upływa 25 maja 1939 r.
3. Każda praca konkursowa winna być opatrzona dopiskiem „KONKURS" i dowolnym godłem. Prócz tego należy dołączyć zapieczętowaną kopertę, zawierającą godło, imię i nazwisko, nazwę i siedzibę szkoły, miejsce zamieszkania i wiek.
4. Praca może mieć charakter:
   — artykułu dla „Młodego Nurtu" objętości nie więcej jak 2 strony druku — około 250 wierszy;
   — studium, nadającego się do broszury o objętości nie większej jak 10 str. druku, formatu 12 × 20 cm.
5. Myśl przewodnia pracy powinna się opierać na stanowisku zajmowanym w tym przedmiocie przez Józefa Piłsudskiego i Marszałka Rydza-Śmigłego.
6. Nagrody:
   — dwie pierwsze, Dyrektora P. U. W. F. i P. W. — popiersia w brązie Józefa Piłsudskiego i Marszałka Rydza-Śmigłego;
   — trzecia, Redakcji „Młodego Nurtu", — bilet „Orbisu" na podróż w Polsce na ogólną sumę 75 zł.;
   — czwarta, Redakcji „Młodego Nurtu", — sprzęt sportowy lub strzelecki w cenie do 50 zł. (wg wyboru nagrodzonego);
   — piąta — dziesiąta, Redakcji „Młodego Nurtu", — książki.
7. Jury konkursowe:
   — delegat Dyrektora P. U. W. F. i P. W.,
   — „ Ministerstwa W. R. i O. P.,
   — „ Instytutu J. Piłsudskiego Poświęcony Badaniu Najnowszej Historii Polski,
   — redaktor „Młodego Nurtu",
   — członek komitetu redakcyjnego „Młodego Nurtu".
8. Redakcja „Młodego Nurtu" zastrzega sobie prawo wydrukowania w swym piśmie lub w osobnej broszurze — bez osobnego wynagrodzenia — nagrodzonych prac konkursowych.

REDAKTOR: Bolesław T. Łaszewski. Strona graficzna: Leonard Rutkowski.
WYDAWCA: Koncern Prasowy M. S. Wojsk. P. U. W. F. i P. W. „Kultura Fizyczna"

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Łazienkowska 3. Codziennie od 10—14, ponadto we wtorki i piątki od 16.30—18.30. Tel. Redakcji 8-50-08. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.